ARI IBN-ZAHAW

OD GRAJEWA DO BERLINA

Szlakiem smolarzy



Dar 49 –
FUNDACJA
POGRANICZE
1943 V KANCELARIA



ARI IBN-ZAHAW

ARI IBN-ZAHAW

OD GRAJEWA DO BERLINA

SZLAKIEM SMOLARZY

POWIEŚĆ

WYDAWNICTWO »COFIM« LWÓW 1939



AUTORYZOWANY PRZEKŁAD CWI WOHLMUTHA

Żyd. Tow. Wyd. „Cofim", Lwów, Juliusza Kossaka 5.
Nowa Drukarnia Lwowska, Akademicka 16 Tel. 217-98

PRZEDMOWA.

Ari Ibn-Zahaw zajmuje stanowisko odrębne w młodej literaturze hebrajskiej. Jego twórczość nie da się podciągnąć pod żaden z oficjalnych kierunków literackich, gdyż swą różnorodnością przerasta granice ustalone dla poszczególnych prądów. Życie golusowe i problematyka palestyńska znalazły swój wyraz w jego twórczości. Ale charakterystyczną jest dwoistość tematyki w twórczości Ibn-Zahawa. Na tę dwoistość składają się mądrość życiowa i wyczucie rzeczywistości z jednej strony oraz skłonność do abstrakcji i wyczucie wieczności z drugiej.

Sen i życie splatają się w jedno, dzień dzisiejszy łączy się bezwiednie z jutrem i rozpływa się w wieczności. Jak różnorodny jest świat duszy pisarza! A przecież zanurzając się w „podziemia" psychiki Ibn-Zahawa, nie zabłądzimy w niej nigdy. Jedna wielka pochodnia oświetla tę dwoistość psychiczną Ibn-Zahawa: miłość do człowieka. Ona to skuwa w syntezę wyczucie realizmu i skłonność do abstrakcyjnego myślenia i w harmonię przeczystą sprzęga jęk bólu oraz pieśń aniołów.

* * *

Już w pierwszym utworze p. t. „Z tajników duszy" dochodzi do głosu owa dwoistość psychiczna autora. W życiu wiele doświadczył, znacznie więcej jak na swój wiek, (w czasie pisania „Z tajników duszy" liczył autor zaledwie lat 20). Doświadczeniu rzeczywistego „zewnętrznego" życia przeciwstawia autor zdarzenia, jakie zaszły w jego własnej duszy, zdarzenia psychiczne, „abstrakcyjne", których znaczenie jest bez porównania większe. Dla Ibn-Zahawa rzeczywistość jest tworem myśli, rodzi się ona i rozwija od wewnątrz, jej korzeń tkwi w najgłębszych złożach jego psychiki, w tajnikach duszy. Abstrakcja jest dlań rzeczywistością... „W życiu nie liczy się lat, lecz tylko zdarzenia a ja wiele, wiele doświadczyłem, choć też z tego nie

wiele pozostało — zdarzenia najróżnorodniejsze i czyny największe kryją się w głębi serca i w mózgu człowieka, w nich blasku nabierają najbardziej niespostrzegalne wypadki i czyny...“ powiada bohater romansu Dan. W książce opisane są tylko wypadki jednego roku, lecz pod aspektem duszy poety. „Astar“ ukochana Dana jest abstrakcyjną rzeczywistością przetworzoną w jego duszy, bohaterowi nie jest danym połączyć się z nią. Jej surogatem jest coraz inna kobieta — ale surogatem niedoskonałym. W każdej widzi Dan tylko cień Astar — ale żadna nie tchnie ową wieczystą rzeczywistością prawdziwej, bo w duszy Dana istniejącej, Astar. Ten dualizm jest źródłem tragedii, ale tragedii nie deprymującej. Równolegle z umiłowaniem Astar, jako symbolu wieczności rodzi się miłość do wszystkiego, miłość obejmująca wszechświaty, morze, niebo, gwiazdy i człowieka. We wszystkich przecież — i nie tylko w tych kilku kobietach, które zajęły miejsce Astar, — jest cząstka Boga, owej Astar wieczności, rzeczywistości duszy Dana. I owa wszechpotężna miłość zagłusza swymi niebiańskimi harmonijnymi dźwiękami histeryczny krzyk Dana, opłakującego śmierć Astar.

* * *

Również w trzytomowej powieści historycznej „Dni Dawida“ znajdujemy owe dwa pierwiastki: irrealistyczny i realistyczny. Są one zrośnięte w organiczną całość. Autor daje wierny opis Dawida, zgodnie z prawdą historyczną przedstawia jego boje i zwycięstwa, które prowadzą go z włości ojcowskiej na tron królewski, wiernie oddaje ducha owej wspaniałej epoki. Z powieści przebija realizm, lecz realizm sui generis, bo biblijny. Emanuje z niej duch biblii i tym też tłumaczy się ów pierwiastek irrealistyczny „Dni Dawida“. Bo czyż owe dawne życie biblijne nie jest dla nas jakby obłokiem legendarnym, rzeczywistością z przed tysiącleci? Czyż biblia cała nie jest dla nas raczej ponadrzeczywistością aniżeli rzeczywistością?

Z tej też przyczyny lgnęła natura „dualistyczna“ autora do biblii i ona też była dlań źródłem natchnienia i z niej też zaczerpnął materiał do powieści. I nie jest to wcale technicznym trikiem, że prolog powieści stanowi sen młodocianego pastucha Dawida — sen o miłości do Bat-Szewy — który jest osią całej powieści, a epilogiem jest konkluzja umierającego króla Dawida: „Mój żywot był li snem tylko“. Sen, rzeczywistość i miłość w jednym korowodzie...

* * *

W dramacie „Legenda życia“ przewija się przed naszymi oczyma szybko, niczym taśma filmowa żywot człowieka.

Chwile szczęśliwe i nieszczęśliwe, chwile życia rzeczywistego rozpływają się w złudzie, jaką jest całokształt bytu. Więc czego należy się uchwycić w tym błędnym kole życia wirującym dokoła nas? Jakim zasadom ma hołdować człowiek w czasie swego krótkiego pobytu na tym dziwnym przylądku nadziei i złud, życia i śmierci?

Jedna jest tylko odpowiedź: Żywi niechaj żywią wiarę w miłość, w potęgę serca. Tylko miłość rozjaśnia ów labirynt życia, tylko ona wyprowadza nas z błędnego koła, w jakim tkwimy. Ciepłe uczucie bijącego serca rozszerza ciasne ramy chwili, swym ogniem potęguje ją w nieskończoność, każe jej róść w wieczność. I tylko w wieczności, z miłości serca wyrosłej, znajdziesz błogi spokój.

* * *

Miłość. Ona jest największym dobrem duszy człowieczej. Życie jest kruche, błędne, bolesne. Lecz w miarę jak ból się wzmaga, rośnie i miłość. Bo w istocie, cóż poza nią pozostaje nam na tym padole? Tylko pisarz, uzbrojony w pancerz miłości, mógł odtworzyć ową tragedię narodową, jaką był niewytłumaczony po dziś mord Arlozorowa. Jakie płomienie nienawiści rozpętał ów pamiętny proces! Ibn-Zahaw gasi je krwią serdeczną, jego serce nabrzmiałe bólem łka nad tragedią narodu. Ibn-Zahaw widzi prawdziwe konsekwencje owego mordu, widzi ciężką rzeczywistość i ostrzega przed gorszym jutrem. Ibn-Zahaw uśmierza ból, cierpienie koi miłością, ale nie karze. Miłość do całego narodu jest silniejsza od nienawiści i goryczy.

* * *

Poeta oscylujący między dwoma światami, światem rzeczywistości a irrealnością jawy i snów znalazł ich pełną syntezę w staro-nowej Jerozolimie. Owe mury grodu Dawida, przykryte pleśnią wieków, podające historię minionych pokoleń i owe niebo przejrzyste, koloru snów niebieskawych, łukiem łagodnym wieńczące wzgórza piaszczyste, które jak garby legendarnych wielbłądów ciągną łańcuchem wolnym hen ku zwierciadłu Martwego Morza. Owe zachody

słoneczne, krwawo wystrzeliwujące potęgę proroczego Synaju na horyzoncie nad krawędzią gór, czyż nie tchną one ową wiecznością nieuchwytną, czyż nie są one prawdą raczej wyśnioną aniżeli rzeczywistością? W tej Jerozolimie, która jest niebiańska a zarazem ziemska, znalazła dwoista dusza poety swój najszlachetniejszy i najwyższy odpowiednik. Cykl wierszy „W Tobie Jerozolimo“ oraz „U wrót Jerozolimy“ a szczególnie dramat „Dzień Jerozolimy“, są jakby modlitwą autora do Jerozolimy niebiańsko-ziemskiej, Jerozolimy snów i jawy. W tej modlitwie znajduje ów dualizm duszy autora swój ostateczny i wyzwalający wyraz. Te wiersze predestynują Ibn-Zahawa na poetę Jerozolimy.

* * *

Czytelnikowi polskiemu dajemy możność zapoznania się z najnowszą powieścią Ibn-Zahawa „od Grajewa do Berlina“ (tłumaczoną również na żydowski, węgierski i rumuński). Na tym miejscu nie chcemy oceniać tej powieści — osądzi ją sam polski czytelnik. Jedno chcielibyśmy tylko nadmienić. Niektórzy krytycy osądzili tę powieść, jako wybitnie realistyczną. Czy tak jest w istocie? „Od Grajewa do Berlina“ jest jedyną z wszystkich utworów Ibn-Zahawa, powieścią w której dominuje pierwiastek realistyczny. Dokładny i szczegółowy opis życia smolarzy, ich wielkiej niedoli i ich małych radości, jest wierny i zgodny z prawdą. Ale autor nie tylko opisuje. Nadcina on również korę duszy smolarzy, wydobywa na światło rzeczy niedostrzegalne dla oka fizycznego. Poprzez zdarzenia rzeczywiste, codzienne, przytłaczające swą monotonnością życie smolarza, odzywa się niczym echo odległe legenda o złotych beczułkach smolarzy, ukrytych w smole. Wśród ciężkiego trudu i znoju połyskuje „świecznik brandeburski“, wytwór humoru, wijącego się cieńkim strumieniem na padole psiego życia żydowskiego smolarza. W drugiej części powieści (część pierwsza tłumaczona na język polski stanowi dla siebie zamkniętą całość), autor przenosi smolarzy do dalekiej, wyśnionej Palestyny. Ów legendarny, powiedziałbym, epilog książki okrasza jakby niebieskawą smugą całą powieść i w niej też zaciera się niejako realizm książki. Gorące, współczujące serce autora bije poprzez karty tej książki, serce które poznało ból istnienia.

CWI WOHLMUTH.

OJCIEC SMOLARZY.

(Miast wstępu)

Czy znacie Grajewo, miasteczko graniczne obok Lyck? Tym, co zrośli się ze słowem hebrajskim, znane jest ono z pewnością z „Ogrodu zabaw“, pierwszej gazetki hebrajskiej dla młodzieży, którą wydawał w Grajewie błp. Abraham Mordechaj Piórko. Inni słyszeli o nim dzięki sąsiedniemu miastu z drugiej strony kordonu granicznego Lyck, w którym wychodził „Hamagid“. Również tym, którzy stali blisko ruchu socjalistycznego w Rosji, znane było to miasteczko graniczne, przez które przemycano rewolucjonistów do Niemiec.

Grajewo to kolebka smolarstwa, stąd wywodzili się smolarze, potocznie „dżekczers“ zwani; rozprószeni byli po całych Niemczech, czy „Preisen“, jak oni sami je zwali.

Któż taki był ojcem smolarzy, pierwszym, któremu zabłysła myśl śmiała, by przejść granicę rosyjsko-niemiecką i szukać w „Preisen“ tego źródła zarobkowania?

Dociekiwali smolarze i przemyśliwali nad tym, a w końcu odkryli pierwszego smolarza, choć nikt nie potrafi wskazać na źródło wiarygodne, z którego ta wiadomość została zaczerpnięta. Z biegiem czasu stał się on postacią legendarną i zaczęto mu przypisywać różne cuda, jak, nie przymierzając, rebemu-cudotwórcy.

A było to sto lat temu — inni zaś opowiadają, że jeszcze dawniej — gdy Grajewo, które później stało się „małym Paryżem", było jeszcze wioską zapadłą, własnością jakiegoś dziedzica. Działo się to pięćdziesiąt lat przed wybudowaniem drogi żelaznej, która z głębi Rosji szła przez Grajewo do Niemiec. Wówczas to w krótkim czasie wzrosło znaczenie Grajewa w całej okolicy; śpieszyli do niego Żydzi z Rajgrodu, Szczucina i także z Wąsosza i Radziłowa, jakby godzina pojednania całego Izraela w tym miasteczku wybiła. Stanowiło ono wtedy jeden zaułek, ciągnący się obok czterech cmentarzy — żydowskiego, prawosławnego, katolickiego i ewangelickiego — które, wszystkie razem, zajmowały obszar większy od całego miasteczka; zaułek ten dziś zwie się ulicą Bożniczą. U wylotu zaułka, w pobliżu „zielonej góry", strzeżącej miasteczka przed duchami, bielejącymi się na cmentarzu żydowskim, mieszkał w piwnicy Mojsze Abraham, nosiwoda zwany ogólnie „Zełdy's" po imieniu matki. Żyd ten podobnie zresztą jak i wszyscy Żydzi, których przeznaczeniem jest żyć po piwnicach, był obarczony mnóstwem bęcwałów, obojga płci. A gdy chce się zadrwić z biedaka „wzbogaconego" licznym potomstwem, mówi się po dzień dzisiejszy w Grajewie i w okolicznych miasteczkach: „Ten może wyleźć aż do nieba po drabinie Zełdy's".

Gadka krąży: Wszyscy bez wyjątku, począwszy od nosiwodów, tragarzy i grabarzy, a skończywszy na sklepikarzach i na samym „potentacie" miasteczka, pochodzą w prostej linii od Mojsze Abrahama Zełdy's, i gdyby nie Zełdy's —

Bóg wie, czy nie zaginęłaby po wsze czasy pamięć o Grajewie, miasteczku żydowskim...

A Zełdy's miał syna jednego, Welwel zwał się. Na progu swej młodości zajmował się kradzieżą jabłek i obwarzanków dla capa, pociechy a zarazem utrapienia miasteczka w owych dniach, ale później ustatkował się i został „bogaczem z kraju Preisen".

Już w swym dzieciństwie oddzielał się Welwel od swych towarzyszy zabaw, rozhukanych uliczników przed którymi drżało całe miasteczko, wspinał się na zieloną górę i nurzał się w samotności. Z lękiem spoglądał na cmentarze, a szczególnie na żydowski, z tęsknotą patrzał w dal, na drogę biegnącą wzdłuż rzeki, za którą czerniła się krawędź lasu rajgrodzkiego; czasami też znikał w stronę gościńca i wytężał wzrok ku horyzontowi na zachodzie, ku ziemi niemieckiej.

Gdy podrósł, wprowadzał do ojcowskiej piwnicy psy i koty, łaził po sklepach i zbierał dla nich odpadki do żarcia. Zdarzyło się raz, że omal nie przypłacił życiem swej ofiarności dla zwierząt. Litując się nad swymi kotami, które usychały za kroplą mleka, wyczekiwał powrotu krów z paszy do swych właścicieli „gojów", potem chwycił jedną za sznur, przywiązał do drzewa wewnątrz podwórza i wszystek mleka wydoił do konwi. Strach śmiertelny wprawdzie go wtedy przejmował, lecz mlaskanie języczków kocich, zlizujących mleko tryskające do konwi, wypełniało go taką radością, że nie zważał na grożące mu niebezpieczeństwo. Gdy wydoił krowę, uwolnił ją, a ta głupiutka szła dalej swą drogą, jakby nic... Tymczasem „goj" szukał swej krowy po całym miasteczku, i z daleka

zobaczył ją wychodzącą z podwórza u wylotu zaułka. Gdy zauważył, że jest wydojona, kopnął ją i wbiegł do podwórza. Tam zobaczył obok drzewa kilka kropli mleka i złość w nim wezbrała. Gdy Welwel zobaczył „goja", znanego z swej popędliwości w miasteczku, czmychnął w mgnieniu oka. Od jednego końca miasteczka do drugiego słyszano głośne krzyki Zełdy's i goja. A koniec był taki, że ich obydwóch wsadzono do ciupy na jedną noc. Nazajutrz pogodzili się, a Zełdy's zapłacił za konewkę mleka. Biedny nosiwoda zastanawiał się nad tym, ileż to konwi wody będzie musiał zanieść do domów bogaczy grajewskich, aby pokryć ten wydatek. Powypędzał z domu wszystkie psy i koty, a gdy wracały, okładał je kijem aż do krwi, i, rozumie się, że i Welwlowi porządnie się przy tym dostało.

Nie upłynęło wiele czasu, a w życiu Welwla rozpoczął się nowy okres, który trwał wiele lat: zaczął zajmować się capem i stąd jego przezwisko „Welwel Cap". Troszczył się o niego, niczym ojciec litościwy o syna, starał się o jedzenie dla niego, a gdy niczego nie mógł znaleźć, kradł z straganów, Wszystko co ściągał w jakikolwiek sposób, zanosił capowi, którego ulokował w stajni Szlomy, furmana miasteczkowego.

Dotąd — prawda. Ale odtąd ciągnie się łańcuch hipotez i legend, tchnących nimbem wielkości Welwel Capa. Przekroczył granicę, sprzedawał smołę i smary rosyjskie chłopom niemieckim. Zaczął w nadgranicznym Prostken, przeszedł Mazury, a w końcu powędrował aż do Berlina i Brandenburga, i dotarł do Dessau

stolicy anhaltskiej. Opowiadają o nim, że co pół roku przynosił do domu beczkę pełną złotych dukatów. Nie ulega wątpliwości, że tę gadkę między bajki należy włożyć. Jego potomkowie są zgorzkniałymi biedakami, a starzy smolarze, pamiętający jeszcze „złote dni" nie dochodzą do pępka najmniejszemu z bogaczy, zajmujących wschodnią ścianę w bóżnicy. Prawdziwe są natomiast opowiadania o jego uciążliwej tułaczce, o jego znojnym życiu na obczyźnie niemieckiej. O gorzkiej prawdzie jego życia świadczy tułaczy żywot smolarzy, którzy przyszli po nim, życie obecnego pokolenia, które jest też i ostatnie.

Dlaczego przezwano Welwla Capem? Jak wiadomo, przekraczanie granicy było wzbronione, w związku z tym przekazywano sobie wśród smolarzy: Welwel siadał na grzbiet capa i na nim przebiegał cztery wiorsty, jakie dzieliły Grajewo od Prostken. Zanim strażnicy graniczni zdążyli przyjrzeć się przybyłemu, przeskakiwał cap ze swym jeźdźcem wysoką rampę i w ten sposób znajdował się Welwel po drugiej stronie kordonu. Tam otworzyło się przed nim źródło zarobków, które były, lub zdawały się być, lepsze, i bardziej szacunek budziły, niż zarobki jego ojca.

Imię Welwla nie zaginęło w pamięci smolarzy, przechodziło ono z pokolenia na pokolenie.

Gdy sprzedawali beczułkę smaru i zarobili srebrnego guldena, z drżeniem dziękczynnego serca wspominali imię Welwla Capa, mówiąc: „Gdyby nie reb Welwel syn reb Mojsze Abrahama, bylibyśmy zdychali z głodu w miasteczku, na ulicy bożniczej lub na piaskach za miasteczkiem, w ciągu życia całego guldena na oczy nie

widząc; niech ci ziemia lekką będzie, reb Welwel, synu reb Mojsze Abrahama".

Lecz gdy koło się odwracało, gdy zima była ciężka, a chłopi nie potrzebowali smarów, gdyż nie jechali wozami, w tych to dniach, gdy kiszki żądały swego smaru, i musieli wydawać grosz za groszem, nic nie zarabiając, albo, gdy powijała im się noga czy to z powodu pruskiego policjanta, czy przez pech w ogóle, z zgrzytem zębów i z szyderstwem wspominali wtedy imię ojca smolarzy, lżąc go bez przerwy: „Niech w grobie nim miota, tym sobaczym synem, Welwlem Capem, za to, że w łeb mu strzelił bzik zwierza, na którym jeździł, i że otworzył nam to piekło przeklęte"; lub też: „niech na rożnach rozżarzonych smali się wyrodna dusza syna nosiwody; przez niego borykamy się z tym nędznym życiem, na najgorszym z „golusów" w odległej obczyźnie, podczas gdy inni w Grajewie, w Szczucinie i nawet w wąsoskiej dziurze, stali się bogaczami, siedzą przy ciepłym kominku, spożywają ciepłą strawę, popijają gorącą herbatę a ducha pokrzepiają dzień w dzień trzykrotną modlitwą w bożnicy".

A gdy dusili się w nędzy, nie widząc żadnego wyjścia, zgrzytali zębami, klnąc donośnie:

„Ha! Gdyby to bydlę zrzuciło z swego grzbietu Welwla, tę kanalię ostatnią, gdyby Welwel rozbił swój łeb o żelazo granicznej rampy, nie zaniosłoby nas nigdy do tego „raju", jakim jest kraj „Preisen".

ZIMA SRULA MOJSZE.

A gdy zawitał kwiecień lub wrzesień, wielka była radość smolarzy. Po pięciu miesiącach psiego życia na obczyźnie, wśród obcych ludzi, wracał smolarz do domu do swej żony i dzieci, i o ile poszczęścił mu Bóg w jego pracy znojnej — radość w domu wzrastała niezmiernie.

W miarę swych zarobków, przynosił smolarz podarki do domu: jeden kupował żonie kawał materiału na suknię, inny przepaskę na czoło lub pierścień, wszystko wedle wieku i życzenia żony, a głównie wedle sakiewki...

Ale z tych dwóch miesięcy milszy był marzec. Bo bez porównania uciążliwsze są perypetie zimą aniżeli latem w tym przeklętym kraju „Preisen". Kto nie jechał zdrętwiały z mrozu wozem pełnym smoły, gdy biel śnieżna rozpościerała się wokół, ten nie zaznał „golusu"; kto nie marzł w stajni karczmarza w długi dzień zimowy, nie mogąc konia zaprzęgnąć i zarobić kilka groszy, ten nigdy nie pojmie sensu tych słów: ciężki, jak przeprawa przez Morze Czerwone, jest chleb żydowski...

Mędrcami nie byli smolarze, ale każdy z nich był cadykiem. Żaden „rabi", żaden pokutnik nie przecierpiał tak „golusu", jak smolarze.

Ledwo minął ostatni dzień świąt, krople tłuszczu rosołowego nie starły się jeszcze zupełnie z warg a już musieli pakować tłumok

bielizny, szare ubrania, „talit" i „tfilin" i znów tułać się na wozie, przejść granice, pozostawić miasteczko rodzinne, i wędrować przez pięć długich miesięcy — a każdy miesiąc długi jak „golus", poprzez rozległy kraj niemiecki, z miasta do miasteczka, z wsi do wioski, lasem i polem, dniem i nocą, wśród burzy lata i zimowej zawieruchy, zawsze, zawsze, bez końca... W jakim celu? Nie poto, aby budować pałace i gromadzić bogactwa, lecz, by znaleźć nieco chleba dla siebie i swych dzieci. Tylko żebracy, tylko zgorzkniali biedacy jak tragarze, nosiwody, lub też posługacze smolarzy, rozsiewali pogłoski o beczkach złota smolarzy — ale oni sami znali dobrze gorzką swą prawdę, i zazdrościli szczerze sklepikarzowi z miasteczka oraz przekupce, sprzedającej jarzyny na rynku.

Dlaczego więc wybrali to zajęcie? Spytaj rymarza, dlaczego nie rzuci szydła, gdy widzi równych sobie ludzi, oddających się zajęciom przynoszącym im zaszczyt i bogactwo? Kto przykuł nosiwodom ręce do konwi na przeciąg długich lat, na całe życie?

Jedna chwila przełomowa w dzieciństwie, czy w dojrzałym wieku przerzucić może człowieka poza obręb życia i tym samym przypieczętować jego los na zawsze.

Mędrcami smolarze nie byli, wiadomo. Celem ich wędrówek nie były przybytki nauki, o nie. Pędzili swój żywot między „gojami", co więcej między Prusakami w kraju, w którym każdy Żyd ma w swych żyłach więcej krwi Ezawa niż Jakuba.

I wśród smolarzy były różne stopnie prostactwa: byli tacy, którzy nie znali przepisów

wiary, tacy co nie znali psalmu na pamięć, i nawet tacy, którzy ustępu nie umieli odczytać z modlitewnika.

I Srula Mojsze syna Bodani (takie było imię matki) uważali za gbura, nawet najbardziej maluczcy z pośród smolarzy. Tylko w chwilach napływu radości, znajdowali dlań starzy smolarze dobre słowa: ojciec i matka odumarli go w dzieciństwie, on sam wyrósł wśród gojów; nie miał krewnych, a Żydzi po małych miasteczkach są wprawdzie ludźmi litościwymi, jak zresztą wszyscy Żydzi, ale mimo wszystko nie znalazł się żaden bogacz, ani bezdzietny biedak, któryby go przygarnął do siebie.

Abecadła nauczył się od dwóch wariatów w starej bożnicy i jadł też z ich chleba. Tak rósł chłopak nieokrzesany i prosty, i dziwić się tylko wypada, że nie wyrósł na złodzieja, czy na zbrodniarza..

Gdy miał lat czternaście, zaopiekował się nim reb Abraham Chaim Ezaw (zwał się tak, gdyż był czerwony na twarzy), wziął go z sobą do „Preisen", chcąc go wychować na porządnego człowieka. Jeśli chodziło o takie rzeczy, jak szacunek dla starszych, to nie natrafił reb Abraham Chaim na żaden upór ze strony Srula Mojsze, gdyż chłopak był miły i łagodny, o ile go się tylko nie drażniło, ale w sprawach tyczących Żyda, jak modlitwa i przestrzeganie soboty, napróżno starał się na niego wpłynąć. O ile w Grajewie, w którym jest tyle bożnic, nie nauczył się tory, to czy potrafi się jej nauczyć po wioskach niemieckich?

Gdy wracał zaś do Grajewa na święta, wystrojony w zielone ubranie i w zielonej czapce

na głowie, otwierano oczy: Czy to syn Bodani stał się tak „postępowy"? Ale on pozostał tym samym prostakiem, który nie pamiętał nawet nazw miesięcy — i nie martwił się wcale, że nie znał i nie wykonywał tego, co jest obowiązkiem każdego Żyda. Tylko jedna rzecz go gryzła, a mianowicie to, że uważają go za gbura.

Starał się już wiele razy zapamiętać nazwy miesięcy, ale z wszystkich miesięcy znał tylko kwiecień i wrzesień, kiedy to się wraca na święta do domu, — a do których to miesięcy tęskniło serce żydowskiego smolarza, a także Srula Mojsze.

Z utęsknieniem wyczekiwał tych miesięcy Srul Mojsze, gdy się ożenił — a cóż dopiero gdy żona powiła mu córkę. — Spodziewał się wprawdzie syna, ale gdy urodziła się córka, przywiązał się do niej nierozerwalnym węzłem miłości.

Często w czasie swej żmudnej wędrówki, gdy zimową nocą grzęznął z wozem w śniegu — myślał o niej i lżej mu wtedy było...

O ile taka noc przechodziła spokojnie — miał to zaprawdę jej do zawdzięczenia.

Samo wspomnienie kwietnia, czy września dodawało mu otuchy w najgorszych miesiącach i dzięki niemu też udawało mu się wytrwać w swej tułaczce po Prusiech.

A gdy śniegi zaczęły topnieć, a ciepłe promienie słońca coraz natarczywiej zaczęły przedzierać się poprzez chmury — starał się spotkać jakiegoś smolarza, by dowiedzieć się ile tygodni wędrówki „golusu" jeszcze mu pozostaje?

A gdy martwił się, że jeszcze nie minęła zima, że nie minęły jeszcze ostatnie dni lutego bolało go to niezmiernie, — ale radość wypełniała

jego serce, i łzy szczęścia perliły mu się w oczach, gdy dowiadywał się, że dni kwietnia — że kroki anioła zbawczego zbliżają się...

Naigrywający się z niego smolarze dopiekali mu złośliwym dowcipem: Srul Mojsze zapałał żądzą do swej Szajni Brajni... Ale nie było tak w rzeczywistości: wprawdzie i Szajna Brajna bądź co bądź nie jest piątym kołem u wozu — ale głównie tęskni dusza do dziecka.

Trzydzieści albo czterdzieści lat temu była pamiętna zima, którą smolarze chętnie wspominają, a zwą ją „zimą Srula Mojsze, syna Bodani".

Była to zima łagodna, a przeto praca łatwa, i zarobek dobry. Jakby Stwórca chciał przeprosić swych synów smolarzy i wynagrodzić ich za to, że mu wierność dochowali wśród „gojów".

Wczesnym rankiem ukazał się cienki szron na oknach, ale znikł niebawem jeszcze w rannych godzinach. Wprawdzie padał poprzedniego wieczoru obfity śnieg, aż do samego rana, lecz słońce, twór rąk bożych — rozsiało szczodrze swe promienie błyszczące, a te rozdrobniły śnieżną powłokę okuwającą matkę - ziemię, przemieniając ją w sito przejrzyste — a po upływie dnia stopniał śnieg na drogach i smolarze jechali wozami przez wsie i miasta, sprzedawali smołę i smary.

Takiego szczęścia nie miał nawet Welwel Cap — ojciec smolarzy; nawet najmniejszy z maluczkich wypełniał wówczas kieszenie srebrnymi guldenami; dni chanukowe owej zimy były dla nich, jak dni wiosennego purim: zapalali, jak zwykle, świece u poddasza stajni, lecz przez szpary desek nie przewiewał wiatr i ani

jedna świeca nie zgasła. A gdy zawitał luty, dął miły, łagodny wiatr, miękki wiatr wiosenny, który obejmuje ciepłym wiewem także i smolarza, uderza lekko o struny jego serca, a wówczas zaczyna tęsknić do domu. I to nie jest tęsknota wrześniowych, jesiennych dni, lecz tęsknota budzącej się wiosny, gdy smolarz żyje nadzieją bliskiego powrotu do domu, do grona swej rodziny, gdy spocznie niczym król na pesachowym łożu.

Był to wspaniały dzień zimowy, gdy Srul Mojsze rozwoził po ulicach Zerbst, miasta anhaltskiego, beczułki smoły.

Gdy w południe skończył pracę, postanowił, żywiąc cichą radość w sercu — wyjechać swym wozem do Dessau, stolicy Anhaltu, by zapytać tam reb Abraham Chaima, który dawniej był jego „panem", albo innego smolarza, ile dni, czy też tygodni mają jeszcze przebyć w kraju „Preisen"; przy tej sposobności kupi nieco smarów w fabryce i spróbuje szczęścia w okolicznych wioskach, gdzie zawsze sprzedaje reb Abraham Chaim.

Jak postanowił, tak zrobił.

Gdy przyjechał do Dessau, wstąpił od razu do „Białego Niedźwiedzia", karczmy a zarazem domu noclegowego smolarzy. Skoro nie zastał tam nikogo z smolarzy, nasunęła mu się myśl, że, być może, pojechali już do domu na święta.

Kto wie? Dni są wiosenne i on sam pamięta Wielkanocne Święta w czasie wielkich śniegów. Serce biło mu silnie i krew uderzyła do głowy. Zakopie się ze wstydu gdy się okaże, że wszyscy byli w czasie świąt w domu, a on

tylko jeden brakował. Od razu zrozumieją, że nie wiedział kiedy przypada Pesach.

W pierwszej chwili postanowił pójść do „rabinera" i jego zapytać o bieżący miesiąc. Ale taki „rabiner" nic nie wie z pewnością, powiedział sobie w duchu, choć w istocie rzeczy wstydził się zwrócić się do „rabinera" z podobnym pytaniem.

Wstydził się również spytać właściciela zajazdu o smolarzy. Postanowił pozostać w Dessau parę dni i w jakiś sposób dowiedzieć się, jaki miesiąc biegnie.

Wieczorem zapytał gospodarza o znajomych smolarzy, a ten odpowiedział mu: „Są przy pracy". Gdy w końcu udało mu się wydobyć zeń, że reb Abraham Chaim objeżdża okoliczne wsi, uspokoił się.

Mimo wszystko postanowił zaczekać nań tutaj i dowiedzieć się z jego ust o nazwie miesiąca.

W nocy przebudził się i nie mógł w żaden sposób usnąć z powodu wątpliwości, jakie nurtowały w jego duszy: być może, że goj go okłamał, albo — że wskutek nietrzeźwości nie zrozumiał jego pytania.

Złościł się na siebie, że nie zna się na kalendarzu i na kolejności miesięcy — postanowił w duszy wziąć na najbliższe święta wielkanocne „rebego" i nauczyć się raz na zawsze nazw miesięcy.

Nazajutrz zrana udał się do fabryki, gdzie nabrał beczki pełne smoły i wyjechał do jednej z okolicznych wsi.

Nie chciał wcale wejść w drogę swym towarzyszom (biada temu śmiałkowi, któryby się

odważył wkroczyć do wsi, której on jest „właścicielem"), ale jego instynkt kazał mu się troszczyć o rodzinę, gdy siedział bezczynnie w Dessau.

Przed wyjściem prosił gospodarza, by zatrzymał reb Abrahama Chaima przed wieczorem, o ile przyjdzie przed nim.

Ale niestety spotkał się z reb Abraham Chaimem na dróżce, prowadzącej do pierwszej już wsi. Nie wszczynając rozmowy, wiedział reb Abraham Chaim, że jego dawny posługacz zamierza pozyskać sobie jego tutejszych odbiorców. Żółć w nim zakipiała, ale zataił swą złość.

Srul Mojsze zmieszał się bardzo, ale ponieważ spostrzegł swego byłego „pana" z daleka, zdołał zapanować nad sobą.

Miotając obelgami i klnąc, zażądał reb Abraham Chaim od Srula Mojsze, by wyjaśnił swój pobyt w tym miejscu. Srul Mojsze odpowiedział, że dowiedział się od właściciela zajazdu, że on przebywa w pobliskich wsiach i dlatego pojechał go odszukać, by się dowiedzieć, kiedy mają wrócić do domu.

Reb Abraham Chaim zaśmiał się drwiąco i rzekł: „jedziesz za mną, szukając mnie, a swego konia obładowujesz beczkami pełnymi smaru — pozostałeś tym samym koniem, jakim byłeś w dzieciństwie".

Była to aluzja niezbyt delikatna, ale Srul Mojsze udawał, że nic nie rozumie i odrzekł: „Doprawdy masz rację reb Abraham Chaimie, kto się urodził koniem zostanie nim do śmierci". Nagle zajaśniała twarz reb Abraham Chaima: „A ja myślałem, że już pojechałeś do domu — zawołał — tylko tydzień czasu pozostał do świąt,

zatrzymałem się tutaj do ostatniej chwili, gdyż dzięki Bogu otrzymałem wiele zamówień". Srul Mojsze ucieszył się, że nie spóźnił się jeszcze zupełnie, a to łatwo mu się mogło przytrafić — i zawołał: „pojedziemy razem". „Niech będzie i tak — powiedział stary smolarz, — ongiś jechałeś ze mną, jako mój posługacz i pomagałeś mi w drodze przy zdejmowaniu butów, a teraz jedziesz jak pan wśród panów, jak ja, jak każdy kupiec w Izraelu".

Było w jego słowach coś drwiącego, coś kłującego — ale Srul Mojsze nie rozumiał drwin, nie spostrzegł złości skrytej i żądzy zemsty.

Około południa przyjechali do Dessau a Srul Mojsze pośpieszył do Zerbst, by umieścić konia na czas świąt i wrócić nazajutrz do Dessau, jak się umówił z reb Abraham Chaimem. A ponieważ się śpieszył, musiał sprzedać swe smary niżej ceny kupna. Gdy wspominał wstyd, któregoby doznał, gdyby się spóźnił do Grajewa, nie martwił się bardzo stratą, lecz mówił sobie w duszy: oto kara z niebios za to, że chciałem wejść w drogę reb Abraham Chaimowi.

W oznaczoną porę przyjechał Srul Mojsze do Dessau i obydwaj pojechali razem pociągiem. Zatrzymali się na noc w Berlinie, gdyż reb Abraham Chaim miał, jak mówił, ważną sprawę do załatwienia w mieście. Srul Mojsze martwił się wskutek tych zbędnych wydatków, ale nie odważył się szemrać przeciw reb Abraham Chaimowi.

Nie zatrzymamy się jednak dłużej nad tym, co było nocą w Berlinie. Gdy wstali nazajutrz wczesnym rankiem, dziwili się obaj bardzo, że hotele w stolicy Wilhelma są pełne pluskiew

i pcheł, a Srul Mojsze zauważył, że gdyby on był tu królem uciekłby stąd siedmio-milowymi butami, bez dłuższego namysłu, nawet tam, gdzie pieprz rośnie...

Reb Abraham Chaim miał rzeczywiście ważną sprawę do załatwienia w Berlinie — a to w związku z kupnem towaru w jednej fabryce, która dotychczas zawsze odprawiała go z kwitkiem — a gdy obecnie udało mu się dobić wreszcie targu cieszył się niezmiernie.

Srulowi Mojsze nie pisnął o tym ani słowa, gdyż przyjętym jest u smolarzy: Zasadą w handlu — milczenie.

Wieczorem poszli obydwaj na dworzec, a Srul Mojsze dał reb Abraham Chaimowi pieniądze, aby dla niego kupił bilet. Abraham Chaim stał w kolejce i w miarę jak zbliżał się do okienka dreptał obok niego Srul Mojsze, bezustannie krzycząc donośnym głosem: przeklinał smolarzy, lżył chłopów, nieznanych zupełnie reb Abraham Chaimowi. Klął i miotał obelgami bez przerwy, jak gdyby mu to sprawiało przyjemność i nie zwracał wcale uwagi na ludzi stojących w kolejce, patrzących na obydwóch, jak na pomylonych oberwańców.

Reb Abraham Chaim dostąpił wreszcie do okienka: „Jeden bilet do Dessau" — powiedział z widocznym zadowoleniem. Srul Mojsze schwycił go za rękę i krzyknął w stronę okienka: „Pomyłka, on życzy sobie dwóch biletów do Prostken w Prusiech Wschodnich". I uśmiechnął się, jakby zadowolony z tego, że i reb Abraham Chaim się niekiedy myli. Kasjer stał chwilę zdziwiony. „Nie mylę się, jeden bilet do Dessau" powtórzył Abraham Chaim. Srul Mojsze spojrzał nań, jak na opętańca i krzyknął głośno w okienko: „Ten stary nie wie, czego chce. Dwa bilety do Prostken".

Kolejka rosła, niecierpliwość wzmagała się. „Obaj zwariowali!" krzyknął jeden z wyczekujących. Zdziwienie kasjera wzrosło. Ale niebawem decyduje się: nie jego rzeczą rozważyć, kto z tych dwóch ma rację, jego obowiązkiem jest sprzedać bilet stojącemu w kolejce, wedle jego życzenia. Po chwili wychodzi reb Abraham Chaim z biletem do Dessau w ręku.

Skręcił w bok, a Srul Mojsze z swym tobołkiem pod ramieniem poszedł za nim. Wtedy wepchnął mu reb Abraham Chaim w rękę pieniądze przeznaczone na kupno biletu do Prostken.

Srul Mojsze zmieszał się zupełnie i powiedział z drżeniem w głosie: „Reb Abraham Chaim, pan chyba stracił zmysły?" Ten popatrzył nań zimnym wzrokiem i odrzekł: „O ile jest między nami jeden wariat, to ty nim jesteś, ty a nikt inny, bo komu wpada do głowy wyjechać w połowie marca do domu — czy aż tak wyłazisz ze skóry za swą Szajną Brajną?

Odrazu otworzyły się oczy Srulowi Mojsze, i w okamgnieniu zrozumiał z tych słów i z ich ironii, że zażartował sobie z niego reb Abraham Chaim, zażartował okrutnie.

Krew uderzyła mu do głowy. W pierwszej chwili zamierzał rzucić się na reb Abrahama Chaima, ale myśl, że znajduje się w „golusie", świadomość, że reb Abraham Chaim był niegdyś jego „panem", kazały mu się wyrzec tego zamiaru. Hamując swą złość, bezsilnie, ciężko dysząc, zgrzytał zębami.

„Drugim razem nie próbuj wchodzić w drogę swemu dawnemu panu, który tobą się zajął i wydźwignął ciebie!“ — powiedział reb Abraham Chaim, wymachując groźnie palcem i dodał zwolna: „a teraz idź i kup sobie bilet, wezmę cię z sobą z powrotem do Dessau“.

Zawstydzony i poniżony stał Srul Mojsze w kolejce. Stał cały czas ze spuszczoną nisko głową, unikając wzroku reb Abraham Chaima, a ten w kącie obok ich tobołków patrzył od czasu do czasu z podełba zawistnym okiem na Srula Mojsze, syna Bodani.

Wieść o tym zdarzeniu rozeszła się lotem błyskawicy po najodleglejszych zakątkach, gdzie tylko stanęła stopa smolarza, i nawet doszła do Grajewa — mówią, że jeszcze w ciągu tego samego tygodnia —choć reb Abraham Chaim nie pisał o tym do domu.

I odrazu też nazwano powszechnie tę zimę: „Zima Srula Mojsze, syna Bodani“.

I tak zwie się ona po dzień dzisiejszy.

SYN, W SZCZĘŚLIWĄ GODZINĘ!

Srul Mojsze ożenił się w czasie święta „kuczek“, a już w czerwcu powiła mu żona pierwszą córkę. Jego wrogowie spośród smolarzy kpili z niej, jakoby przedwcześnie urodziła, ale reb Abraham Chaim ganił ich za to, biorąc w obronę Srula Mojsze i jego połowicę.

Srul Mojsze był znany ze swej porywczości do płci nadobnej, a w zajazdach wiejskich pilnie musiał nań baczyć reb Abraham Chaim, by się nie zadawał z karczemnymi dziewkami. Przyłapał go już wprawdzie kilka razy, gdy głaskał kark takiej dziewoji, i nawet skórzany rzemień jego nie zdołał go powstrzymać od podobnych wyczynów, lecz mimo wszystko wierzył reb Abraham Chaim, że Srul Mojsze nigdy nie przebrał miary, a szczególnie wobec cór żydowskich, a cóż dopiero wobec swej narzeczonej.

Było to poprostu oszczerstwo. Choć nawet reb Abraham Chaim był naiwny, wierząc, że Srul Mojsze potrafi zapanować nad swą chucią, to przecież Szajna Brajna, jego narzeczona, nie pozwoliłaby Srulowi Mojsze na zdrożny występek. Faktem ogólnie znanym jest, że gdy Srul Mojsze po „widzeniu się“ w domu jej rodziców, pozostawszy z nią sam na sam w pokoju, próbował ręką dotknąć jej karku, tak jak to zwykł czynić z dziewkami po zajazdach wiejskich, — Szajna Brajna podniosła taki krzyk, że

wszyscy domownicy, stojący pod drzwiami pośpieszyli do niej, ba zbiegli się nawet sąsiedzi z pobliskich domów przerażeni tym nieludzkim krzykiem. Płonąc z wstydu kłamała Szajna Brajna, tłumacząc się jakimś niewyraźnym uczuciem..., ale krewni, którzy przez dziurkę od klucza i poprzez szpary w deskach ściany widzieli co się zdarzyło, uspokajali ją, a ojciec, szewc z zawodu, ucałował ją w głowę, wzruszony jej dziecięcią niewinnością.

Ale koniec końcem, Szajna Brajna zgodziła się wyjść za Srula Mojsze. Wszyscy w miasteczku wiedzieli o tym zdarzeniu, które przecież świadczy, że oszczerstwem jest to, co mówili niektórzy smolarze o Srulu Mojsze. I mimo wszystko, plotki te znalazły sobie posłuch wśród wielu, — a Szajna Brajna ze wstydu nie wychodziła przez szereg miesięcy z domu. Srul Mojsze podejrzliwie spoglądał na każdego smolarza, którego spotykał w swych tułaczych podróżach, i biada temu, któryby z drwiącym uśmiechem na ustach pytał o jego córkę. Był on bardzo porywczy i łatwo wpadał w złość, a wtedy stawał się zwierzęciem drapieżnym, choć nigdy nie zatłukł człowieka, a nawet rzadko kiedy podnosił rękę na kogoś. Ale gdy wracał do domu i gdy znów widział swą miłą córkę, kołysał ją nogą, ani na chwilę nie odrywając wzroku od dziecka. Pragnął bardzo wziąć swą córeczkę w ramiona, ale bał się jej dotknąć, by nie sprawić jej bolu swym uściskiem. Panował nad sobą w podziwu godny sposób, gdy nie całował jej pogrążonej we śnie. A kiedy żegnał się z nią w ostatni dzień Zielonych Świąt, płakał jak dziecko.

Właścicielowi zajazdu w Zerbst i chłopom po wsiach opowiadał o swej Surele, że nie znajdziesz takiego jak ona dziecka; ale gdy spotykał się z smolarzem, nawet z reb Abraham Chaimem, który bronił go przed oszczerstwami, milczał jak zaklęty: wiedział bowiem, że drwią z jego miłosnych wynurzeń wobec Szajny Brajny i Surele, że hołota grajewska ułożyła już piosenki w związku z tym.

Minął rok i Szajna Brajna powiła drugą córeczkę. Serce jego burzyło się, — chciał syna — ale gdy wrócił na noworoczne święta do domu i zobaczył w kołysce Rajzele, ładniejszą bez porównania nawet od Surele, pogodził się z losem i siedział przykuty do kołyski, podobnie jak zeszłego roku. Bo cóż go obchodzą ludzie i to co oni szwargocą o nim? Gdy wyjechał, miał jedną pociechę w domu, obecnie przybyła jeszcze jedna. A kołysząc ją rozmyślał: teraz gdy ma dwie córki, powinien powiększyć swe interesy, znaleźć nowe wsie dla sprzedaży swego towaru i więcej zarabiać. Przejść w okolice Dessau nie myślał, gdyż do reb Abraham Chaima należy ta prowincja, ale spróbuje szczęścia w Magdeburgu. Wprawdzie i tam krążą smolarze, a między nimi Zelig Byk, gbur co się zowie, a do tego wielki zawadiaka, ale ze względu na obowiązki wobec swej rodziny, uważał, że wolno mu wszczynać w wszystkimi, nawet z Zelig Bykiem, tylko nie z reb Abrahamem Chaimem, który był niegdyś jego „panem", i który wystrychnął go na dudka ku pośmiewisku wszystkich, gdy owej zimy nazwanej jego imieniem, próbował wejść mu w drogę.

A Szajna Brajna rok rocznie rodziła córki.

Wszystko w Grajewie wiedziało: z końcem czerwca lub z początkiem lipca Szajna Brajna rodzi. Gdy dni porodu się zbliżały, próbowały kobiety z ulicy bożniczej, a nawet dziewczęta odgadywać: chłopiec czy dziewczynka. Gdy urodziła się córka, wszystkie były zadowolone. Wszystkie wiedziały, że Szajnę Brajnę martwi to bardzo. Choć lubiły tę wstydliwą kobietę, to przecież nie wiedząc dobrze dlaczego, cieszyły się z jej nieszczęścia. A gdy Szajna Brajna powiła czwartą córkę, ułożyli urwisze uliczni piosenkę zaczynającą się od zwrotki:

On poci się, biegnie, smarów wozi kadzie.
Gdy Srul Mojsze chce syna
Córeczkę rodzi kobiecina
Swym córkom on posagi gromadzi.

A wracając tego roku do domu nie wiedział Srul Mojsze, czy rodziła Szajna Brajna, czy też nie. „Gdyby powiła syna otrzymałbym telegram" rozmyślał, gdyż tak umówił się z nią. Zwykła przysyłać mu jedną kartkę co lata — po każdym porodzie, ale tym razem nie pisała zupełnie i Srul Mojsze myślał, że poroniła i dlatego obawia się mu napisać. „Głupiutka jest, ot kobiecina, ot cielątko, mówił do siebie rozczulając się — czyż Srul Mojsze będzie się gniewał na nią, że poroniła płód? Da Bóg innym razem". O ile poroniła, pomyślał, to z pewnością była to córka. Serce biło mu silnie na myśl, że może to był syn...

A gdy wrócił do domu i zobaczył niemowlę w kołysce, spojrzał również na żonę i z jej twarzy zrozumiał wszystko.

Przez kilka chwil chodził po pokoju tam i z powrotem nie mówiąc ani słowa, ale gdy

wzrok jego padł na białą twarzyczkę dziecka, litością wezbrało jego serce i zapytał: „A jak ją nazwałaś?" W jego głosie było coś miękkiego, coś wybaczającego — i w mgnieniu oka rozjaśniła się zachmurzona dotychczas twarz Szajny Brajny. Przed chwilą sądził Srul Mojsze, że nie będzie dłużej żył z swą żoną, ale myśl ta nie zakorzeniła się w nim i od razu okazał jej objawy miłości; gorejącymi oczyma spoglądał na jej twarz rozpromienioną, gdy z radością przyjmowała jego podarunek, kawał czerwonego materiału na suknię świąteczną.

„Czy gniewasz się na mnie?" pieszczotliwie spytała Szajna Brajna.

„Głupia jesteś, durniutka, ty cielątko moje, mówił coraz głośniej i pewniej, — my znużymy Boga, na przekór i na złość całego Grajewa, do stu diabłów z nimi, pokażemy im, popękną ze złości — my będziemy mieli syna", i przycisnął ją do piersi z całych sił. „Zostaw" — westchnęła Szajna Brajna, czując, że zostaje zmiażdżona w uścisku jego silnych ramion.

Twarz jej skrzywiła się i poczerwieniła, na jej widok zlękła się maleńka Surele i wybuchła płaczem. „Wujek bije mamę" darła się coraz głośniej, póki Srul Mojsze nie zostawił żony w spokoju. „Moja mądralka" krzyknął śmiejąc się i wziął Surele w swe ramiona całując pełnymi ustami jej włosy, twarz i małe nóżęta.

Gdy w najbliższe Wielkanocne Święta wrócił do domu i zastał swą Szajnę Brajnę w ciąży, dał do bożnicy ośmnaście groszy dla odmawiających psalmy, by modlili się o syna dla niego. I mimo, że zrobił to w tajemnicy przed wszystkimi, wieść o tym rozniosła się po całym mia-

steczku, a urwisze uliczni mieli „frajdę“ wielką, śpiewając pod jego oknem i pod bóżnicą pieśń na jego cześć ułożoną, którą zaczynał wiersz:

Szajna Brajna, przecież wiesz, przecież wiesz,
Chce Srul Mojsze syna też, syna też.

Pieśń kończyła się tym, że Szajna Brajna powiła mu bliźnięta:

Dwie córeczki jednym razem,
Aby godnym być smolarzem.

I co będzie, gdy broń Boże spełni się przepowiednia tych bęcwałów? Zadawał sobie to pytanie Srul Mojsze. Wyrzuci wtedy kołyskę na dwór... Mimo wszystko przed powrotnym wyjazdem do Niemiec w ostatnim dniu Zielonych Świąt, powiedział do żony: „Nie martw się Szajno Brajna! Nie waż się zataić przede mną. Zawiadom mnie natychmiast, bez względu na to, czy chłopiec, czy dziewczynka“.

Tego lata umizgał się Srul Mojsze do reb Abraham Chaima. Zajeżdżał do niego do Dessau w piątek wieczorem i zostawał z nim w zajeździe przez całą sobotę. Gotował z nim ryby w konewce i łuszczył kartofle (robili to w oborze lub w stajni). A pomagał mu Srul Mojsze, by przeprosić reb Abrahama Chaima, który żywił złość wielką do niego, wierząc oszczerstwom Zalmana Byka oraz jego towarzyszy.

Reb Abraham lżył i obrażał Srula Mojsze, gdy ten nie oczyścił ryb, jak należy, obchodził się z nim jak dawniej, gdy Srul Mojsze był jego posługaczem, a ten przyjmował wszystko bez szemrania.

I to wszystko w jakim celu? Otóż wyczekiwał Srul Mojsze listu od Szajny Brajny i nie było nikogo w całej okolicy ni smolarza ni posługacza, któryby mógł odczytać te „czarne kropeczki“ z wyjątkiem reb Abraham Chaima.

Już upłynął trzeci rok od owej „zimy Srula Mojsze“, ale obawiał się wspominać o tym, by reb Abraham Chaimowi nie przyszło na myśl zemścić się po raz drugi, a to za oszczerstwa Zeliga Byka.

„W sprawach tyczących jego potomstwa, nie okłamie go reb Abraham Chaim“, pocieszał się w duchu, ale mimo to przeczuwał coś złego. Wprawdzie starał się wmówić sobie dziesięć razy dziennie, że żona z pewnością urodzi mu córkę, ale gdy mijały ostatnie dni czerwca, nie mógł z tęsknoty i wyczekiwania wieści znaleźć miejsca dla siebie. Gdyby mu się poszczęściło tego lata, pojechałby teraz bezwątpienia do domu, ale jego zapotrzebowania są wielkie — a co najważniejsze — gdyby opuścił to miejsce na przeciąg jednego miesiąca, zajmie je Zelig Byk z swymi towarzyszami.

W tych dniach, gdy Srul Mojsze przyjechał do Dessau, zapytał go reb Abraham Chaim zupełnie poważnie o wieści z domu. Uczynił to także Chaskel, posługacz reb Abrahama Chaima.

Srul Mojsze wzruszył ramionami jakby nie o jego sprawy pytano. Zaczęło się w nim budzić podejrzenie: czy nie poroniła? I zeszłoroczne dręczące myśli towarzyszyły mu na każdym kroku.

Aż nadszedł spodziewany dzień.

W pewną niedzielę rano, gdy tylko wrócił z Dessau do Zerbst, zanim zdążył wyła-

dować swój towar, podał mu właściciel zajazdu kartkę. Jak zwykle, gdy otrzymywał kartkę, oglądał ją ze wszystkich stron, przewracał na obie strony i złościł się na siebie, że nie umie jej czytać.

Odrazu usiadł na wóz i popędził swą wychudłą szkapinę z powrotem do Dessau. Tysiące myśli przeszyły jego mózg i trzykrotnie postanowił wrócić do Zerbst. Ostatecznie dojechał do Dessau. Reb Abrahama nie zastał, ani Chaskla posługacza, umiejącego trochę czytać również nie znalazł, a gdy właściciel „Białego Niedźwiedzia" powiedział mu, że obydwaj wyjechali do okolicznych wiosek, nie posiadał się ze złości.

Po pierwsze nie wiedział, gdzie ich ma szukać, a po drugie być może, że powiła mu córkę, a wtedy okryje się wstydem.

Srul Mojsze wpadł w rozpacz. Zamówił kilka razy piwo, głaskał swą szkapinę lub bił ją na odmianę, przeklinał brzuchatego właściciela gospody, że mu dobrze na tym bożym świecie, a w końcu wyszedł na ulicę.

Zapytał o dom „rabinera", i poszedł w wskazanym kierunku. Przed bramą domu wezbrało w nim uczucie wstydu, i nie odważył się wejść do wnętrza. Aby dodać sobie otuchy wspomniał wszystkich smolarzy, którzy nie umieli pisać ni czytać, lecz mimo wszystko nie poszedł do rabina, wstydząc się, by go nie uważał za nieokrzesanego.

W końcu myśląc, że o ile naprawdę urodziła się córka lepiej będzie, by reb Abraham nie doniósł mu o tym, zapukał w drzwi i wszedł do mieszkania.

Mimo, że ubranie, zczerniałe ze smoły, i rozwichrzona broda nie budziły wiele respektu do niego, odrzekł mu rabin z powagą „szalom alechem" i wprowadził go do swego pokoju.

„Rabiner" miał ostrzyżoną starannie brodę, nie nosił okrycia na głowie, i w ogóle wyglądał, jak dziedzic z Grajewa.

Srul Mojsze zaczął opowiadać, że ojciec i matka odumarli go wcześnie i nikt niczego nie uczył go i tak dalej i tak dalej... „Rabiner" wiele nie rozumiał z jego niemczyzny, marszczył czoło, starał się coś pojąć, a gdy podchwycił jakieś słowo, przytakiwał pośpiesznie. W końcu Srul Mojsze wyciągnął kartkę z kieszeni i poprosił rabinera, by mu ją przeczytał. Gdy rabin rzucił tylko okiem na kartkę, zmieszanie odbiło się na jego twarzy. Nie umiał odczytać tego pisma, ale widocznie wstydził się przyznać.

Gdy Srul Mojsze widział „rabinera", jak ten marszczy czoło i słowa nie może z siebie wydobyć, — uczuł zadowolenie, jakiego nie zaznał jeszcze w ciągu całego swego życia. „Czym on mię właściwie przewyższa?" Nie tylko rabiner, który naprawdę nie znał innego pisma z wyjątkiem drukowanego, ale także rzadko kto mógłby odczytać te okruchy liter, które skreśliła na papierze Chajke, córka Feiwla, cygana z ulicy bożniczej.

Rabin obracał kartkę w jedną i drugą stronę, przybliżył do niej szkło powiększające a w końcu z trudem zdołał wydobyć z niej tych kilka słów: „Nuch dajn taten Mindel" (po twoim ojcu Mindel). Srulowi Mojsze wystarczyły w zupełności te słowa, i wskazując palcem na kartkę, jakby umiał czytać, odczytał rabinerowi: „Nie Mindel, Mendel", wepchnął swą szeroką

dłoń w rękę rabinera i uścisnął ją z podziękowaniem.

„Rabiner" tłumaczył się przed nim, że pismo takie nie jest przyjęte w Niemczech, ale Srul Mojsze nie słyszał tych usprawiedliwień rabina, podziękował mu po raz drugi i trzeci, a gdy włożył ostrożnie kartkę do kieszeni dodał: „Te słowa są najważniejsze, reszta to głupstwa", i opowiedział mu, że żona jego urodziła mu już bez uroku cztery córki, a teraz dostał pierwszego syna.

Rabin odprowadził Srula Mojsze do drzwi, życząc mu na odchodnym serdecznie „mazel tow".

Srul Mojsze pośpieszył z powrotem do zajazdu, ale nie zastał jeszcze reb Abrahama Chaima. Przechadzał się, spoglądając co chwila niecierpliwie ku wylotowi ulicy na każdy przejeżdżający wóz.

Wreszcie wieczorem przyjechał reb Abraham Chaim. Srul Mojsze wepchnął swą rękę w jego dłoń i jak pan, panom równy zawołał radośnie do Chaskla: „Ty zaprowadź konia do stajni, ja mam tu sprawę do reb Abraham Chaima". Ten zrozumiał od razu o co mu chodzi, ale nie dał tego poznać po sobie, i wszedł pośpiesznie razem z Srulem Mojsze do zajazdu.

„Dwa kufle piwa!" krzyknął Srul Mojsze do gospodarza, a reb Abrahamowi Chaimowi powiedział: „Dostałem kartkę od mej żony, oby żyła, serce mi mówi że powiła syna, co powiesz na to reb Abraham Chaim? Przecież lepiej umiesz czytać ode mnie", i dodał wypychając mu kartkę do ręki: „powiedziałem jej, by chłopca nazwała imieniem ojca Mendel". Reb Abraham Chaim

wyciągnął zwolna z wyblakłego futerału swe okulary i zaczął czytać cicho, a później powiedział Srulowi Mojsze: „Tak w istocie, syn w szczęśliwą godzinę, ma imię ojca. Mazel tow!"

W tej chwili wszedł Chaskel. „Jeszcze jeden kufel piwa" zawołał Srul Mojsze. I radość wzrastała w zajeździe. Srul Mojsze chciał poprosić reb Abrahama Chaima, by napisał do Szajny Brajny, aby strzegła chłopca, że przyniesie jej podarunki, ale wstydził się przed nim, gdyż wiedział, że reb Abraham Chaim to stary cynik, który później wyśmieje go wobec wszystkich smolarzy.

Prawdę powiedziawszy, od owej pamiętnej zimy nie dowierzał zbytnio reb Abrahamowi Chaimowi, ale widział, że słowa jego odpowiadają słowom „rabinera", co jest dla niego najlepszym dowodem prawdy. W istocie rzeczy mógłby się zadowolić słowami rabinera i wrócić odrazu do Zerbst, ale radością wezbrało jego serce i czuł, że musi się nią z kimś podzielić. A z kim? Czy z właścicielem zajazdu, tym „trefniakiem" w Zerbst, z właścicielem stajni, czy też z Zeligiem Bykiem, tym zawalidrogą i sobaczym synem? Reb Abraham Chaim jest mądrym Żydem, dzięki niemu mógł się ożenić i wyżywić rodzinę... W końcu dał reb Abraham Chaimowi cztery sztuki srebra i poprosił go, by je przesłał Szajnie Brajnie. Wiedział, że może przesłać pieniądze z Zerbst, ale Dessau to wielkie miasto na tym bożym świecie i wielki jest w nim gmach pocztowy, a oprócz tego reb Abraham to pewny człowiek — o ile on prześle pieniądze, zobaczy na własne oczy co urzędnik notuje — (w rzeczywistości na literach nieży-

dowskich nie znał się nawet reb Abraham Chaim) i pieniądze dojdą pewnie do rąk żony.

Nigdy nie dłużyły mu się tak te dni na „obczyźnie", jak obecnie pod koniec lata. Gdyby użyczono mu skrzydeł, poleciałby do Grajewa, wkradłby się nocą do domu, zajrzałby do kołyski i znów wróciłby do swych smarów i smoły.

Nieraz oburzał się na Szajnę Brajnę, że mu nic znać nie daje o Mendlu, lecz udobruchał się: „ona mimo wszystko „berjah" i zawsze zajęta". Na każdą sztukę srebra, która przybywała do jego szerokiego pasa zawieszonego na podbrzuszu mawiał: więcej mleka dla Szajny Brajny, by mogła karmić, jak należy Mendla... A gdy przygotowywał się do wyjazdu do Grajewa, kupił żonie dwa fartuchy, dla wszystkich czterech córeczek pończochy, a dla Mendla — nic nie nabył. Zastanawiał się długo i w końcu nie wiedział co ma kupić. „Dla niego cały pas z wszystkimi srebrnymi guldenami" powiedział do siebie zadowolony...

A gdy jechał tym razem z Prostken z nad granicy przez las do Grajewa, serce biło mu bezustannie i niecierpliwiło się, jak nigdy. Nie czekał na żydowską furmankę, wsiadł na wóz chłopa z Bogoszy i kazał się zawieźć jak najprędzej do domu.

„Szkapa ciągnie jak żółw" — oburzał się Srul Mojsze.

Gdy wszedł do domu, padł swej żonie na szyję, nie wstydząc się sąsiadki, która stała w tej chwili obok kominka, i ucałował ją serdecznie. Tak nigdy jej jeszcze nie całował.

Ona odsunęła się od niego zawstydzona, mówiąc coś niewyraźnie. „I co za wstyd? — za-

wołał — przecież jestem twym mężem a ty moją żoną". „Naturalnie" — uzupełniła sąsiadka z kąta z ironicznym uśmieszkiem na ustach. Szajna była chora i smutna". „Czy dziecko jest chore?" zapytał Srul Mojsze, zbliżył się do kołyski i zaczął spoglądać na niemowlę, które leżało spokojnie z otwartymi oczyma. „Mendel, Mendel, kadisz ty mój" — uśmiechał się do dziecka a głos drgał mu radośnie. Ciesząc się i śmiejąc się odkrył zasłonę przykrywającą dziecko i ukazało się przed nim miękkie ciałko niemowlęcia. Drgnął. Gdy Szajna Brajna usłyszała słowo: Mendel, zrozumiała jego pomyłkę i szepnęła z trwogą:

„Jej imię Mindel"*)

Twarz jego okryła się trupią bladością, ale niebawem nabiegła krwią: reb Abraham Chaim nabrał go! A gdy przyszedł nieco do siebie krzyknął nieludzkim głosem:

„Daj mi siekierę, ja go zabiję!"

Szajna Brajna przelękła się. Nie wiedziała kogo on zamyśla zabić, ale próbowała powstrzymać go, krzycząc do sąsiadki:

„Fajga moja kochana, zlituj się, zawołaj ludzi!"

Wywinął się z rąk żony i zaczął szukać siekiery. Ale zanim znalazł siekierę, wpadli do domu mąż, bracia Fajgi i jeszcze dwaj sąsiedzi i starali się go uspokoić. Posadzili go przy stole, zaczęli przemawiać do jego sumienia, ganiąc go za złość, która nie odpowiada Żydowi a szczególnie takiemu zacnemu Żydowi. A Srul

---

*) Przyjętym jest u Żydów nadawać niekiedy córkom imiona zbliżone do imion ojców.

Mojsze uparł się przy swoim, powtarzając raz podniesionym, raz osłabłym głosem: „Zabiję go!“

A Szajna Brajna stała przy kominku, złamana i zrozpaczona szeptała do Fajgi:

„Chajke, córka Fajwla cygana, zadrwiła sobie, pisząc tę kartkę. Bez serca! Ona temu winna“.

„GROBY OJCÓW“.

Srul Mojsze zajął miejsce reb Abrahama Chaima w Dessau i okolicach.

Reb Abraham Chaim zmarł bowiem nagle i został pochowany kosztem gminy żydowskiej. Srul Mojsze dowiedział się o tym od właściciela „Białego Orła“, który wyczytał w gazecie wezwanie gminy do Żydów z Grajewa, by oddali ostatnią przysługę swemu rodakowi.

Srul Mojsze nie przybył od razu do Dessau, gdyż obawiał się, że to może go wiele kosztować, po upływie tygodnia jednak wyjechał z mocnym postanowieniem zajęcia miejsca reb Abrahama Chaima. Przybył z Zalmanem, swym pomocnikiem do „B. Niedźwiedzia“, dopytywał się o Chaskla, pomocnika reb Abrahama Chaima, odnalazł go w końcu i zaproponował mu pracę u siebie. Chaskiel był zrozpaczony po śmierci „pryncypała“; wrócić do miasteczka swego nie chciał, gdyż zakosztował już życia na szerokim świecie, a nie wpadło mu na myśl samemu objeżdżać kraj, bo brakło mu do tego celu pierwszych bodaj 100 marek.

Dlatego cieszył się niezmiernie, gdy Srul Mojsze zaproponował mu pracę u siebie.

Bóg poszczęścił Srulowi, który zdołał powiększyć interesy; wkrótce zapanował niepodzielnie na ziemi anhaltskiej.



Chaskiel przedstawiał go chłopom, jako brata reb Abraham Chaima, a chłopi wierzyli mu i pokładali zaufanie w Srulu Mojsze, podobnie jak dotychczas w reb Abrahamie, którego znali w całej okolicy przez dziesiątki lat, jako uczciwego Żyda.

Po upływie kilku lat, gdy Chaskiel popadł w zatarg z swym pryncypałem i zagroził mu, że opowie „gojom" prawdę, Srul Mojsze śmiał się z niego: „Chłopi nie uwierzą w te brednie..." Często martwił się Chaskiel, że sam na własną rękę lub też z wspólnikiem nie zaczął objeżdżać okolic, że nie został gospodarzem na własnych śmieciach. Ale nie było już na to rady...

Upływały miesiące, lata, a Chaskiel był nadal pomocnikiem Srula Mojsze i prawie zawsze zmuszony był znosić jego przekleństwa i obelgi, a na domiar narażony był niekiedy na niedostatek i głód, bez nadziei usamodzielnienia się .„Gdy umrze Srul, nie będę już więcej tak głupi i nie oddam obcemu mojego terenu" — nierzadko sobie powtarzał. Ale Srul Mojsze był jeszcze w sile wieku i słabe były widoki Chaskla.

Najciężej było zimą. „Pan" siedział na wozie między beczułkami smaru z rękoma zagrzebanymi głęboko w rękawach owczego kożucha, a on, posługacz, trzymał mocno w rękach lejce i popędzał konie.

Ale o wiele gorsze były owe dni zimowe, gdy nie można było zaprząc konia i wyjechać z podwórza „Białego Niedźwiedzia". W takich czasach wyskakiwali smolarze ze skóry: dziesięć razy na dzień wychodzili z zajazdu do stajni, ciągle spozierali przez okno na szare niebo, a złość ich brała na widok pomocników, którzy na pozór

beztrosko spędzali czas na żarciu i chrapaniu. Wprawdzie „panowie" byli niegdyś sami pomocnikami i znali nędzny żywot człowieka, któremu pan liczy każdą kromkę chleba, ale pamięć minionych dni nigdy nie skłaniała ich do odmiennego obchodzenia się ze służbą.

Srul miał już złą markę, jako żywiciel posługaczy. Przyznawał im pożywienie, gdy pracowali, lecz gdy śnieg zakrywał drogi i nie było pracy ani zarobku, nie poczuwał się do obowiązku utrzymywania ich. „Ten, kto mnie zesłał śnieg, niech im ześle chleb" — zwykł mawiać w takich dniach. Posługacze rozumieli znaczenie tych słów, zwykle opuszczali zajazd i pieszo szli do jednej z pobliskich wiosek, by u chłopów coś dostać do jedzenia.

Niekiedy wracali z kieszeniami pełnymi kartofli i kwaśnego chleba z otrębów, a Srul Mojsze jadał razem z nimi do syta, gdyż w takich dniach odejmował sobie sam własnego chleba z ust. Jakże można inaczej? Tych kilku marek, co zarobił przed śniegiem i szronem, strzegł zazdrośnie w swym szerokim pasie. W żaden sposób nie tknie ich. Co będzie, gdy staje śnieg, kto może przewidzieć, co przyniesie dzień jutrzejszy? Musi tedy oszczędzać. Gdyby nie obawiał się utraty poważania u posługaczy, sam przyłączyłby się do nich i razem z nimi krążyłby po domach litościwych chłopów, by żebrać o kromkę chleba...

Zima była bardzo ciężka. Najstarsi spośród smolarzy nie pamiętali podobnej. Była zupełnie odmienna od zimy, zwanej imieniem Srula Mojsze... Opowiadali, że smar zamarzł w beczkach, że konie drżały w stajni, a koła omal nie popękały. Nocami gwiazdy połyskiwały mroźnie na niebie, które rankami było szaro - sine. Sanie sunęły ulicami a ich dzwonki, których dźwięk tak miły jest dla dzieci i dorosłych, wyprowadzał Srula Mojsze z równowagi. Szyby okien pokryły się grubą warstwą szronu. Przez dwa kółka, które wycisnął miedzianą monetą w szronie, patrzył Srul Mojsze na dwór.

Oburzał się w tych czasach na wszystkich: na rodziców, którzy go odumarli za młodu, przez co musiał wywędrować w obce strony, na błp. reb Abraham Chaima, który zlitował się nad nim i wziął go z sobą, a szczególnie na swych pomocników i właściciela zajazdu, którzy zdawali mu się być zadowoleni z tego, że siedzą tutaj bezczynnie, wyciągając z jego kieszeni ostatni grosz; gniewał się nawet, choć to będzie brzmiało niewiarygodnie, na samego Stwórcę. Bo i na kogo wyładuje swą złość? Czy na mieszkańców tego padołu, czy też na Boga w niebiesiech? O ile pokłóci się z właścicielem zajazdu, z tym brzuchaczem, to ten napędzi go z wozem i końmi, choć żyje z niego. Jak Bóg w niebie, rozrzutnikami nie są wcale smolarze — ale mimo wszystko, szynkarz żyje z niego. Psiakrew! Niemiec uważa, by godność jego nie została naruszona i za najmniejszą nawet obrazę zacząłby bez pardonu kropić po zębach, a nadto oskarżyłby go przed sądem. I dlatego też, gdy Srul Mojsze nie mógł pohamować swej złości, wyładowywał ją na swych pomocnikach. Widzi ich, jak marudzą w gospodzie, podczas gdy on sam, jak byś go ukropem oblał; siedzą w stajni i rozmawiają z sobą; wyprowadza go też z równowagi beztroska, jaka maluje się na ich twa-

rzach. Oto daje im modlitewnik i każe odmawiać psalmy, by Bóg się zlitował i śnieg stajał. Choć sam złorzeczył Bogu, modlić się nie umiał — cóż dopiero odczytywać psalmy, a „tfilin" wkładał bardzo rzadko, ale w ciężkich chwilach wierzył w skuteczność modlitwy i dlatego zmuszał Zalmana i Chaskla do odmawiania psalmów, jak w bóżnicy. Sam siedział przed nimi i nie odrywał od nich wzroku; biada temu, któremu uśmiech zaigrał na ustach, lub kogo wzięła chęć przerwania w środku, bo mu zaschło w gardle.

Odmawianie psalmów nastąpiło w stajni, obok dwóch koni, gdyż w zajeździe szydził sobie z nich brzuchacz, właściciel zajazdu, a Srul Mojsze zważał bardzo na cześć modlitewnika, zwłaszcza wtedy, gdy potrzebował jego pomocy. Gdy robiło się zimno i Srul Mojsze drżał na całym ciele, przerywano czytanie, a pomocnicy szli do pobliskich wiosek, by wyżebrać coś do jedzenia.

Im dłużej się ciągnęły te bezczynne dni, tym większy był gniew Srula Mojsze i tym większe były utrapienia pomocników.

Już sześć dni trwały mrozy, a z dnia na dzień wzrastała warstwa śniegu, okuwająca drogi. Srul Mojsze wychodził co chwila na dwór i spoglądał na niebo, próbując przewidzieć, czy przeminie szron i czy stają śniegi. W południe, gdy wychodził, zdawało mu się, że mróz osłabł i że od zbliżających się oparów śnieg wkrótce spłynie. Zapukał w okno, dając znak Chasklowi, by wyszedł. „Zdaje mi się, że opary nadciągają, Chaskiel, co myślisz?" zapytał, zbliżając się do niego. Chaskiel uczuł w tej chwili w uszach ostry ból z mrozu i odpowiedział na-

iwnie: „Zdaje mi się, że mróz wzrasta". Srul Mojsze poczerwieniał ze złości, i zgrzytając zębami krzyknął nieludzkim głosem: „Zazwyczaj pomocnik stara się sprawić zadowolenie swemu panu. Oby ziemia wymiotła twego ojca, który odumarł cię za młodu, przez co dostałeś się, sobaczy synu, do mnie, aby mnie, twemu żywicielowi, przysparzać utrapień".

Był to tylko wstęp, a potem przyszły obelgi i przekleństwa, jakie rzadko który smolarz oberwał. Chaskiel wyszedł w ciągu godziny dwa razy na dwór i każdym razem wrócił z nowiną: „Opary się ukazują", ale miast naprawić, pogorszył jeszcze swe położenie. Srul Mojsze nie panując dłużej nad sobą podniósł nań swą rękę, lecz Chasklowi udało się w czas uchylić i uniknąć razu, a pięść Srula Mojsze spadła całą siłą na stół, aż szklanka piwa podskoczyła i potoczyła się na podłogę, tłukąc się na kawałki. „Wyrządzasz mi także szkody w taki ciężki czas" zaryczał głośno i pobiegł za Chasklem, który skoczył szybko do drzwi i uciekł. Zalman także poleciał za nim, mimo, że nic złego nie zrobił.

Srul Mojsze zaś pozostał w pustym zajeździe. A gdy wszedł karczmarz — przyzwyczajony do takich wydarzeń — i nie mówiąc słowa, zaczął zbierać kawałki stłuczonego szkła, próbował mu Srul Mojsze tłumaczyć łamaną niemczyzną, której karczmarz nie rozumiał, przy akompaniamencie przekleństw, właściwych smolarzom, bardziej zrozumiałych dla właściciela zajazdu — co zaszło. Brzuchaty karczmarz klepał go po plecach, mówiąc: „nie trzeba traktować tak poważnie takich rzeczy".

„Dobrze mu tak mówić, gdy na mój rachu-

nek zapisze tę potłuczoną szklankę i zarobi jeszcze na niej", mówił Srul Mojsze do siebie, klnąc pod nosem.

Cały dzień i wieczór przesiedział Srul Mojsze w zajeździe, by pomocnicy nie mogli wejść do wnętrza, lecz marzli w stajni lub na dworze.

Następnego dnia wzmógł się jeszcze bardziej mróz. Srul Mojsze przekonał się, że Chaskiel się nie mylił, ale uważał, że nie uchodzi przyznawać rację pomocnikowi.

— Jeśli tak potrwa dłużej, będę musiał was posłać do domu, powiedział Chasklowi i Zalmanowi, gdy zobaczył ich poraz pierwszy tego rana. Ci wcale się tym nie przejęli. Piosenka ta była im zbyt dobrze znana oddawna, nadto poznali po głosie Srula Mojsze, że chce ich przeprosić. Koniec końcem, gdy trzeba odmówić psalmy, któż je odmówi — karczmarz czy też konkurujący z nim smolarze?

Tego dnia był Srul Mojsze dobry i łagodny, a w południe zlecił karczmarzowi, aby dał każdemu z nich małą szklankę „jasnego". Następnie poszli do stajni i z przyjemnością odmówili kilka psalmów, mimo że się do nich z tym nie zwrócił. A gdy Srul Mojsze podszedł i przez drzwi stajenne słyszał, jak jego „chłopcy" odczytują psalmy, wzruszył się do łez.

„Mimo wszystko są dobrymi dziećmi, a ja złym gburem", powiedział do siebie i odszedł do zajazdu.

O godzinie trzeciej udał się na „grób ojców", by odwiedzić grób reb Abraham Chaima. Przez ten dzień niewiadomo dlaczego myślał o reb Abraham Chaimie i doszedł do wniosku, iż ciężko zgrzeszył tym, że w ciągu czterech

lat — tyle czasu już minęło od śmierci reb Abraham Chaima — ani razu nie odwiedził jego grobu. Wprawdzie ciągle jest zajęty swoją znojną pracą, ale w tych mroźnych dniach, gdy bezczynność go dojada i doprowadza do szaleństwa, dlaczegoż nie miałby pójść na „grób ojców"? Jest to obowiązkiem a zarazem też dobrym uczynkiem i może też pomóc...

Początkowo zamierzał wziąć swych posługaczy z sobą, ale w końcu postanowił pójść sam. Ostatecznie jest to cmentarz nieżydowski — więc kogo ma się obawiać?

Być może, że powie coś niedorzecznego nad grobem i posługacze zaniosą to do Grajewa, a wtedy znów będą z niego kpić. Powiedział tedy pomocnikom, by odmawiali psalmy za duszę reb Abraham Chaima, a sam poszedł sobie.

Różne smutne myśli snuły mu się w drodze na cmentarz. Prawda, straszną rzeczą jest żyć między „gojami", ale nie zostać pochowanym wśród Żydów... Czy istnieje coś gorszego? Nie jest pewny, jak się ma sprawa z rajem na tamtym świecie, ale każdy pragnie, by kości jego legły wśród Żydów... Czyż nie jest to nieszczęście spocząć po wsze czasy na obczyźnie, zdala od krewnych i przyjaciół? Wśród swoich, w każdą rocznicę odwiedza się grób żydowski; w Tisza B'aw tym bardziej, a tutaj w Dessau wśród „gojów", gdzie sam rabin jest „gojem", Żyd jest samotny w grobie i tak opuszczony... „Nie dobrze być smolarzem", wyrzekł głośno.

I tak doszedł do cmentarza. Dozorca, stary, chudy Niemiec przyjął go bardzo uprzejmie, a gdy dowiedział się o co chodzi, otworzył księgę, przypomniał Srulowi Mojsze całe zdarzenie,

notatkę w miejscowym dzienniku i zaprowadził go do grobu.

Śnieg był wysoki, sięgał kolan; z trudem doszli do grobu. Dozorca strącił śnieg z małej deski, sterczącej nad grobem — a gdy stwierdził zgodność numeru, powiedział Srulowi Mojsze: „Oto grób, o który pan pyta". „Dziękuję bardzo", odpowiedział Srul Mojsze, zdejmując kilkakrotnie czapkę.

Dozorca wrócił do swego domku obok bramy cmentarza.

Śmiertelna cisza zalegała dokoła, tylko krakanie odzywało się w pobliżu, a z daleka dochodziły dzwonki sań, wzmagając uczucie strachu w jego sercu.

Przezwyciężył się.

Czyż ma obawiać się reb Abraham Chaima? Dziesiątki lat jechał z nim na jednym wozie, nocą po zapadłych miasteczkach wędrowali razem, spał obok niego na poddaszach stajen, grzejąc się niekiedy przy jego ciele. Czyż ma się go obawiać? „Gdyby reb Abraham Chaim powstał teraz z grobu — uścisnąłbym go", rzekł sobie w duszy, ale dreszcz przebiegł jego ciało na myśl o tym. W końcu, jakby obudził się z odrętwienia, nabrał otuchy i kołysząc ciałem szeptał jakby do siebie: „Reb Abraham Chaim". Innych słów nie znalazł, i tylko ciężkie westchnienia wydzierały się z jego piersi.

Stał tak całą godzinę, nie ruszając się z miejsca, a łzy mu bezustannie spływały po twarzy: był tak dobrym, zacnym Żydem a mimo to przeznaczonym mu było spocząć na wieki między „gojami". I nikt nie odwiedzi jego grobu i nie uroni łzy nad nim! Czy rzeczywiście

istnieje Bóg w niebiosach, gdy taki los spotkał reb Abrahama Chaima? Rozmyślając nad tym, wzniósł oczy do nieba, zauważył, że niebo zakrywa się coraz gęstszymi chmurami; przestraszył się tej bluźnierczej myśli. „Jesteś gburem", zganił siebie. Rękoma odgarnął śnieg z pagórka, pochylił się ku ziemi i objął grób ramionami, wybuchając nagle płaczem, jak dziecko, jak nieszczęśliwa sierota.

Szlochał bez przerwy: „drogi reb Abraham Chaim, reb Abraham Chaim" i mimowoli w pamięci odżyły dni, kiedy to reb Abraham Chaim szczędził mu chleba i kpił z niego wobec wszystkich, ale on odpędzał od siebie te myśli natarczywie się nasuwające, mając przed oczyma postać reb Abrahama Chaima, gdy ten wszedł do bóżnicy i odebrał go z rąk wariatów, mówiąc mu: „Chodź ze mną, chodź ze mną"! Słyszał ten głos, jakby się rozlegał teraz z grobu; strach go ogarnął, zdawało mu się, że nie zdoła wstać...

Gdy podniósł głowę, niebo było już usiane gwiazdami a białe nagrobki na cmentarzu wyglądały, jak szeregi trupów, okrytych śmiertelnymi całunami. „Poco przyszedłem tutaj?" pomyślał z strachem, ale gdy szepnął znów „reb Abraham Chaim" ochłonął nieco.

Gdy gotował się do odejścia, rzucił okiem na małą deskę, na której wyrytych było kilka cyfr. „Skąd wie ten stary „goj", że tutaj spoczywa reb Abraham Chaim?", spytał siebie. Może przeleżał nad innym grobem? Może płakał i prosił o łaskę nad grobem jakiejś starej „gojki", po której wszelka pamięć zaginęła? Ta wątpliwość dokuczała mu i przeszła stopniowo w pewność — a ból i wstyd wypełniały jego

duszę. „Całe życie męczył się i harował, a gdy umarł, nie zostawił nawet na nagrobek“ mówił, wzdychając ciężko. Potoczył wzrokiem dokoła, szeptając: „Spoczywaj w spokoju gdziekolwiek jesteś, reb Abraham Chaim! Był tutaj Srul Mojsze, pomocnik twój i modlił się o to, by nie zmarł na obczyźnie“.

Zaczął kroczyć ku wyjściu. Z trudem spostrzegał ślady kroków swoich i dozorcy, — i kierując się nimi, wracał do bramy.

Co chwila przystawał, odwracając głowę a za każdym razem rozmyślał o tej prawdzie, nad jaką zastanawia się każdy człowiek z chwilą, gdy znajdzie się u wrót śmierci...

„Dlaczego jesteśmy takimi skąpcami, dlaczego szczędzimy chleba naszym biednym pomocnikom? I dlaczego tak zacięcie walczymy o każdy grosz, gdy po śmierci największe nawet skarby nie przywrócą nam życia?“

Wśród takich myśli doszedł do bramy, która była otwarta. W oknie domu dozorcy błyszczało słabe światełko. Zaczął szperać, grzebać po kieszeniach, by dać dozorcy kilka groszy. I tak też szperając przeszedł na palcach przez bramę, a później przyśpieszył kroku i wyszedł na gościniec.

„Być może, że ten goj, gbur nabrał mnie, by dostać kilka guldenów — mówił do siebie — a ja będę szastał pieniądzmi obecnie w tak ciężkich dniach?“

Dobrze mu było, gdy wracał z powrotem do zajazdu, dobrze mu było, tak jakby odwiedził starego przyjaciela po wielu latach rozłąki. Dobrze mu było, bo oto wraca z cmentarza do życia...

Gdy wszedł do zajazdu, nie zastał tam posługaczy, pośpieszył radośnie do stajni, by powiedzieć im, że odwiedził reb Abrahama Chaima. A gdy zauważył, że ciemno w stajni, skierował swe kroki na wolny plac, rozpościerający się za nią.

„A, wy tutaj, sobacze syny, wyrodki przeklęte“, zaryczał Srul Mojsze, widząc ich, jak się obrzucali śnieżnymi kulami z dwoma dziewkami, posługującymi w zajeździe. Zabawa przerwała się w oka mgnieniu; cała czwórka rozpierzchła się na wszystkie strony, tylko nie w kierunku zajazdu. „Oby was już tam zaniosło — wskazał na cmentarz — w miejsce reb Abraham Chaima, który nigdy nie postępował tak haniebnie!“ klął gwałtownie, bolejąc nad smolarskimi młokosami, wyrastającymi na hulaków i darmozjadów. Skręcił potem do stajni i głaszcząc okazałą swą szkapinę, ubolewał nad dolą reb Abraham Chaima, którego kości nie legły wśród swoich...

Gdy po upływie kilku godzin pomocnicy wrócili do gospody, Srul Mojsze nie rzucił się na nich gwałtownie, jak to było jego zwyczajem. Zbliżył się tylko, mówiąc: „Gdyby właściciel zajazdu o tym się dowiedział, przepędziłby was stąd bezzwłocznie i przekazałby w ręce policji. Aby się to więcej nie powtórzyło! Będę baczył na was, młokosy!“

Zalman chciał zauważyć, że gospodarz wie dobrze o wszystkim, ale Chaskiel trącił go w porę w nogę, nakazując milczenie. Srul Mojsze podszedł do karczmarza i obszernie zaczął mu opowiadać o swych odwiedzinach u reb Abrahama Chaima, a właściciel zajazdu

przytakiwał głową: „tak, tak", jakby go rozumiał. Tak zwykle postępował ten brzuchacz z swymi gośćmi - smolarzami, gdyż wiedział, że ci lubią, by ich słuchano.

Wkrótce też wrócili pomocnicy, życząc Srulowi Mojsze „dobrej nocy", — i poszli spać do stajni.

Srul Mojsze spał w tych mroźnych czasach w zajeździe na poddaszu, w tym łóżku, gdzie dawniej podobne noce spędzał reb Abraham Chaim.

Gdy pomocnicy zobaczyli później poprzez szpary światło na poddaszu, wyszli bezszelestnie z stajni do zajazdu, gdzie czekały na nich rozpustnie się śmiejące dwie dziewuchy, które siadły z nimi przy stole, przy kuflach piwa.

Długie godziny paliła się świeca na poddaszu u Srula Mojsze. Wszedł oto do tego pokoju, jak dawniej reb Abraham Chaim. Leży na tym samym łóżku i możliwie, że i na tej samej poduszce — czyż nie ma w tym jakiegoś złego znaku, że i on zostanie pochowany na obczyźnie, podobnie jak reb Abraham Chaim?

Utkwił wzrok w drżącym płomieniu świecy, jakby zobaczył w nim duszę reb Abraham Chaima... Zamierzał już ubrać się, zejść do stajni i położyć się obok swych pomocników, ale bał się wstać.

Ochrypłe dźwięki gramofonu i głośny śmiech, dochodzący z dołu, dodawały mu otuchy. Tym razem, gdy myślał nad swymi odwiedzinami na „grobach ojców", nie wzbudził w nim rozpustny krzyk dziewcząt karczemnych żadnej grzesznej myśli.

Zasnął przy świetle świecy, z ręką pod poduszką, trzymając w niej kurczowo „tfilin".

PODRÓŻE BRANDENBURSKIE.

Już sama nazwa „Brandenburg" budziła respekt wśród smolarzy. Prawie wszyscy wiedzieli, że w Berlinie znajduje się „Brama Brandenburska", i każdy, czy widział ją czy nie, opowiadał o niej cuda niestworzone. Ponoć Welwel Cap dotarł do samego Brandenburga. Mieszkańcy tej ziemi wywodzili się widocznie z rodziny królewskiej i zagrozili Welwlowi, że go zatłuką na śmierć, o ile im się pokaże raz jeszcze na oczy w ich mieście. Opowiadają, że także syn Welwla Capa próbował tam szczęścia, ale połamano mu gnaty. I tak to ziemia brandenburska nie miała smolarza, któryby jej dostarczał „rosyjskiego smaru".

Od czasu do czasu przechodził smolarz przez ten kraj, ale żaden nie odważył się zatrzymać.

Smolarze przeklinali w duchu tę ziemię, ale z respektem się do niej odnosili. Kto tylko przejeżdżał przez ten kraj, chwalił się tym wszem wobec, bardziej niż zwiedzeniem Aleksanderplatz w stolicy, lub królewskiego ogrodu w Dreźnie.

Srul Mojsze, syn Bodani, był dwa razy w Brandenburgu i przez całe życie opowiadał o tych swych podróżach.

Była wówczas ciężka zima. W rzeczywistości każda zima jest ciężka dla smolarza, ale gdy

przychodzi nowa zima z nowymi śniegami okuwającymi drogi, zapomina smolarz o zimach poprzednich i uważa obecną za najgorszą.

Dessau wyglądało wedle zdania smolarzy, jak jeden wielki całun śmiertelny, przykrywający wszelkie źródła zarobkowania...

Świece „chanukowe", które ukazują się zawieszone na opak na dachach chrześcijańskich domów są złym znakiem! — powtarzał Srul Mojsze, widząc sople ludowe. Ten zgrabny zwrot odziedziczył Srul Mojsze od swego zmarłego „pana" reb Abrahama Chaima i z zadowoleniem powtarzał je kilkakrotnie swym pomocnikom a nawet właścicielowi zajazdu, — który zresztą nie wiele z tego rozumiał.

W tych dniach przywędrował Zelig Byk z Magdeburga do Dessau, a gdy Srul Mojsze zapytał go o pogodę w Magdeburgu, odpowiedział, że tam śniegi stajały i interesy są niczego sobie. Zelig Byk powiedział to, by zmartwić Srula Mojsze — taki jest już zwyczaj smolarzy — a Srul Mojsze, choć był wielkim niedowiarkiem, od kiedy reb Abraham Chaim dwa razy go okłamał, rzucił na niego skośne spojrzenie i — uwierzył mu. Zelig Byk wzruszył ramionami, jakby mówił: „Przecież Magdeburg jest w pobliżu Dessau, ale los mój już tak widać chce, by w Dessau nie można było złamanego szeląga zarobić."

Srul Mojsze próbował okrężną drogą wyodbyć od Zeliga Byka kilka słów o jego interesach w Dessau — ale nie udało mu się to. W toku rozmowy opowiedział Zelig, że doszło doń z wiarygodnego źródła, że w Brandenburgu jest lato. Jak tej zimy, kiedy luty zdał się

Srulowi Mojsze kwietniem, i że Elkana, który pojechał tam z Saksonii przed dwoma tygodniami, wrócił obecnie z dwoma pasami pełnymi srebrnych guldenów. Aby zaś wzbudzić większe zaufanie do swych słów, przeklinał siarczyście Elkanę, że ten tylko dzięki swemu nieżydowskiemu wyglądowi dociera tam, dokąd żaden Żyd nie ma dostępu. I odrazu też dodał:

„Gdyby w mej prowincji — broń Boże — był taki mróz jak tutaj w Dessau, bez namysłu wyjechałbym tam".

Srul Mojsze obudził się po dłuższym namyśle, jakby z odrętwienia i rzekł: „Masz słuszność bracie! I dlaczego właściwie ma być Elkana lepszym ode mnie? Wprawdzie jest golony, ale czy nie ma również brodatych Niemców?" Zaczął wyliczać nazwiska dziedziców, zapuszczających sobie brody i doszedł do nieboszczyka króla Fryderyka, ojca króla Wilhelma...

W rzeczywistości zaś Lejke'ly — ów Meir syn Lejkeli, który był kiedyś jego wspólnikiem — nabrał w ten sposób Zeliga Byka, opowiedziawszy mu, że w Dessau panuje lato, że drzewa dosłownie tam kwitną, a on, Zelig Byk, dał się nabrać przez tego durnia i przyjechał, nie zważając na to, że Srul Mojsze jest „właścicielem" tutejszej prowincji.

Pozostał tedy w gospodzie „Do złotego konia" i postanowił zaczekać tu tak długo, póki nie spłyną śniegi, by tymczasem sprzedać trochę smoły i coś zarobić. Żółć w nim kipiała na samo wspomnienie o Lejkele, który go tak nabrał. Chciał więc pocieszyć się tym, że sprawi Srulowi Mojsze to samo, a nadto spodziewał się, że będzie mógł po dwóch, trzech dniach, gdy śnie-

gi ustaną, sprzedawać smary w Dessau bez żadnej przeszkody.

I rzeczywiście poszczęściło mu się. Srul Mojsze nie zastanawiał się długo. Wziął Chaskla ze sobą, a Zalmana zostawił. A gdy na miejscu wyjechał na wozie, naładowanym smołą i smarami różnych gatunków na gościniec, popędził konie, podśpiewując sobie trzykrotnie werset modlitwy: „Wychodzący pod swym baldachimem, okazuje się w swej sile straszny, wyniosły i święty".

Tak zwykł postępować reb Abraham Chaim, gdy wychodził rankiem do pracy a Srul Mojsze nieraz przekonywał się, że pieśń ta przynosi mu szczęście w pracy... Konie, choć kilka dni odpoczęły, jakoś niechętnie zaczęły dreptać, a w miarę jak śnieg kładł się na kołach, zwalniały, sapiąc bokami i przystawając na każdym prawie kroku. Chaskiel chodził pieszo za wozem, strącał podkowami butów śnieg, który twardniał na kołach, a czasami nawet popychał wóz, ale w końcu musiał i Srul Mojsze schodzić z wozu i pomagać Chasklowi. „Może wrócimy", wyrwało się Chasklowi, gdy obydwaj, ramię przy ramieniu, popychali wóz pod górę. Na Srula Mojsze, który i tak był bardzo rozgoryczony, te słowa podziałały, nie przesadzając, jak ukrop wylany nagle na łeb; kopnął kupę śniegu, podniósł groźnie swą rękę a na jego brodatej twarzy, która zbielała z szronu, zabłysło dwoje oczu, jak u drapieżnego zwierza. „Wiem ja, sobaczy synu, że lepiej ci w gospodzie w Dessau aniżeli tutaj. Czy myślisz, że to tak łatwo człowiekowi wydobyć kawałek chleba ze smoły? Bo i co wam właściwie, hulakom brakuje w „Białym niedźwiedziu"? Żłopiecie i żrecie za moje pieniądze i stajecie się leniuchami i nicponiami, że ruszyć was nie sposób z miejsca, jak kłody"... I tak klął bez przerwy. W rzeczywistości zaś sam uważał, że popełnił głupstwo. O ile dwa tygodnie temu nie było śniegu w Brandenburgu, to któż mu zaręczy, że także i teraz tam nie ma śniegu? Ale ponieważ jego posługacz powiedział mu, że lepiej jest zawrócić, znalazł tysiące powodów, przemawiających właśnie za tym, by nie wrócić. W każdym miasteczku musiał wstąpić do zajazdu, by samemu odpocząć i dać wytchnienie zmęczonym koniom. Na noc musieli zostać w jednej wsi, gdzie Srul Mojsze porządnie zapłacił za nocleg. Zatrzymali się tam, bo obawiał się, aby w ciemności nie wpadł razem z końmi do jakiegoś dołu przydrożnego, czy do rzeki. Takiej podróży nie odbył jeszcze Srul Mojsze w swym życiu, a gdy znalazł się wreszcie w pobliżu Brandenburga i zobaczył, że wysoki śnieg okrywa dokoła, nie mógł już dłużej zapanować nad swym bolem i ulegając, powiedział Chasklowi: „Gdybym posłuchał ciebie i wrócił od razu do naszej prowincji!", potem zaczął przeklinać Zeliga Byka, że go w błąd wprowadził.

Innym razem, gdy Chaskiel słyszał z ust swego „pana": „...gdybym słuchał ciebie", — łagodniał, ba topniał z radości... Ale obecnie był zmęczony, głodny i skostniały z zimna, nie zwrócił więc uwagi na słowa Srula Mojsze i przeklinał w duchu „pana", tę kanalię Zeliga Byka i siebie samego, że mu takie ciężkie, psie życie przypadło w udziale.

Srul Mojsze chcąc go pocieszyć, westchnął: „Jak Bóg w niebie, łatwiej wydobyć chleb z ziemi, niż ze smoły". I to zdanie odziedziczył po reb Abrahamie Chaimie, błogosławionej pamięci.

Tego wieczora śniegi zaczęły spływać. Srul Mojsze zwrócił się do Chaskla: „Mimo wszystko przyszliśmy w szczęśliwą godzinę". Ale Chaskiel odpowiedział wręcz: „Całkiem możliwie, że w Dessau stajał śnieg jeszcze wczoraj". Srul Mojsze milcząco opuścił głowę. Zwykle udzielał na tak zuchwałe słowa pomocnika niedwuznacznej odpowiedzi, ale po tej strasznej podróży należy wybaczyć nawet posługaczowi, gdy ten zuchwale się zachowuje przed „panem"; chcąc opanować się, powtarzał w duchu: „Biedny mój Chaskiel, biedny i nieszczęśliwy".

Nazajutrz zrana, po odpoczynku nocnym, pozostał Chaskiel w gospodzie, by zaoferować chłopom towar i zamówić ich przed południem, gdy jego „pan" wróci i przywiezie z sobą towar rosyjski. A Srul Mojsze objeżdżał swym wozem w swej całej okazałości ulice miasta, próbując szczęścia u chłopów, zbierających się na rynku i pod sklepami. Zanucił dwa razy „Wychodzący pod swym baldachimem" i starał się zapomnieć o swej uciążliwej podróży, jaką przebył, by mieć otwarte i czujne oczy na wszystko, co się dzieje wokoło.

Zaledwie zajechał do pierwszego zaułka, mającego kształt ⊓, a otóż „palący się świecznik" przed nim wyrasta. „Palący się świecznik" oznaczał w języku smolarzy policjanta niemieckiego, dlatego, że jego błyszcząca czapka przypominała im kielich lichtarza w bożnicy. Gdy

czapka policjanta zabłysła Srulowi Mojsze przed nosem, zdrętwiał z przerażenia: Miał zezwolenie do uprawiania handlu na cały Anhalt lecz nie na Brandenburg. Mimo wszystko nie stracił zimnej krwi, i pośpiesznie ukrył swe zezwolenie w worku od słomy, który mu służył za siedzenie, gdyż obawiał się, że o ile policjant zabierze mu, broń Boże!, to świadectwo, będzie zgubiony na wieki. Równocześnie smagnął batem konia, nie oglądając się w stronę policjanta, zbliżającego się doń, by nie wzbudzić w nim podejrzenia, że się go obawia. Policjant przeszedł obok niego, nie zwracając nań uwagi. Gdy jednak dojechał do końca zaułka, który okazał się zamknięty, przestraszył się. „Do diabła — powiedział do siebie — umyślnie budują w Brandenburgu ulice w ten sposób, aby cię złowić, jak szczura w pułapce".

Przystanął na chwilę obok ostatniego domu w uliczce, następnie ukrył się w wozie i przez dziury w płóciennej zasłonie spoglądał na drugi koniec zaułka, czy też policjant już znikł? Policjant przechadzał się zaś u wylotu uliczki tam i z powrotem, a widząc z daleka wóz stojący dłuższy czas na jednym miejscu, — o dość dziwnym wyglądzie — zbliżył się do niego. Gdy Srul Mojsze zauważył to, chwycił za lejce, ale nim zdołał skręcić konie, policjant stanął już przed nim. Przez chwilę spoglądał na jego twarz — podobnej dotychczas jeszcze nie widział — na jego płaszcz, połyskujący od smarów jak miedź i powiedział, jakby od niechcenia: „Guten Morgen", a Srul Mojsze odpowiedział mu pod nosem: „wer derworgen", albowiem

wiedział, że lepiej jest widzieć „palący się świecznik“ na stryczku, aniżeli słyszeć jego pozdrowienie. Policjant zaglądał do wozu i mrugnął znacząco na beczki. Srul Mojsze wzruszył ramionami i popatrzył nań z głupkowatym uśmieszkiem.

PODRÓŻY BRANDENBURSKICH

ciąg dalszy

Gdy zaś bogacza ci swat wyswata,
Cacko dla córki — to wiedz, że tata —
Kark skręci, spadnie na psy.
A długi jego płacić będziesz — ty!
Niech będzie bogacz, krawiec, szewc,
Lecz tylko nie smolarz — bo wiedz:
On miejsca nie zagrzeje,
Ona w smętku posiwieje.

Ponieważ wyszedł cało z Brandenburga, przeto zadowolony był z tej złej podróży, a to tym bardziej, że wieść o tym, co jemu przytrafiło się, rozeszła się po wszystkich zakątkach, gdzie dosięgła stopa smolarza i wielu zaczęło podziwiać jego mądrość. Zelig Byk, który stał się od tego czasu jego śmiertelnym wrogiem, próbował rozsiać pogłoskę, że Srul Mojsze wyssał wszystko z palca, ale nie powiodło mu się. Wszyscy bez żadnych dociekań wierzyli, że to, co się przytrafiło Srulowi Mojsze, wedle jego opowiadań, jest rzeczywiście prawdą.

Tej zimy postanowił Srul Mojsze nigdy więcej nie narażać się na podobne niebezpieczeństwa. Ale po dwóch, trzech latach zatarła się w nim pamięć tego zdarzenia — i od czasu do czasu zajeżdżał do miasteczek, leżących poza granicami Anhaltu, sprzedawał i zarabiał tam

coś niecoś, nigdy nie biorąc z sobą zezwolenia handlowego, w obawie, by mu go nie zabrali, gdy go przyłapią.

A ponieważ szczęściło mu się, pojechał po raz drugi do Brandenburga.

Było to latem, a rok ówczesny był rokiem posuchy. Takiego złego lata nie znali jeszcze smolarze. Wybuchały ciągle spory wśród nich, gdyż jeden drugiemu wchodził w drogę, wskutek czego ceny spadały. Poprostu pracowali dla chłopów. Srul Mojsze i inni z „majętniejszych" smolarzy handlowali w ostatnich latach nietylko smarami, lecz także mydłem i cholewami do butów — a to wszystko naturalnie towar „rosyjski". Na ogół podupadały interesy, gdyż liczba smolarzy wzrosła bardzo. Wprawdzie starzy powymierali, ale śmiertelność u smolarzy była znikoma w porównaniu z liczbą „urodzeń": każdy pomocnik, który zaoszczędził kilka groszy, łączył się z kimkolwiek i w każdym razie udawało mu się popsuć cenę. Posługacze, którzy stali się „panami" brali się z zapałem i energią do pracy, a starzy musieli ciężko pracować i płacić krezusowe ceny swym pomocnikom, aby ich nie opuścili.

Srul Mojsze przepowiadał upadek interesów, należał do pierwszych, którzy zaczęli rozwozić mydło i cholewy do butów; zamierzał też potem rozwozić sukno. A kto wie, może też kiedyś będzie handlował suknem i cholewami, poświęci się interesom, przynoszącym honor.

Pewnego dnia w czas owego ciężkiego lata rzekł Srul Mojsze do swych posługaczy: „Ponieważ przeszliśmy już przez wszystkie wsi, przeto pozostawiam was w mieście a ja sam pójdę do

innej „prowincji". Nie powiedział im, że zamierza udać się do Brandenburga. Odliczył im kilka tuzinów mydeł, cholewy do butów, oraz beczułki smarów różnego gatunku, większy wóz — oddawna miał już dwa wozy — zostawił w Dessau, a sam wyjechał małym wozem na drogę brandenburską. Wielu smolarzom udało się tego lata zajechać do Brandenburga, oraz do innych niedostępnych zazwyczaj dla smolarzy krajów, i tam też robili niezłe interesy.

Gdy Srul Mojsze wyjechał z Dessau, zanucił trzykrotnie: „Wychodzący pod baldachimem, ukazuje się w swej sile, straszny, wyniosły i święty"... I ten werset powtórzył też, gdy dojechał do bram Brandenburga.

Po wsiach nic prawie nie sprzedał. Wyprzedzili go inni albo poprostu nie chcieli u niego kupować. W wielu miejscach nie odpowiedzieli na jego pozdrowienie, i niekiedy zatrzaskiwali mu drzwi pod nosem. W jednym miejscu słyszał wyraźną odpowiedź: „Nie kupujemy u Żyda". Te słowa przeszyły, jak ostry sztylet jego serce. Gdyby go tak obraził smolarz, podniósłby bez namysłu siekierę i zabiłby go na miejscu. Ale „jeky" nie jest smolarzem i Srul Mojsze musiał cicho przełknąć obelgę. Dopiero, gdy wyjechał ze wsi, siedząc na wozie, przeklinał, na czym świat stoi, i wyładowując swą złość, krzyknął w stronę wsi: „Trawa wyrośnie z waszych martwych oczodołów, ale Żyd pozostanie na wieki!".

Jednakowoż w samym mieście Brandenburg robił niezłe interesy, całkiem dobrze zarobił u rzemieślników, a szczególnie u rymarzy. Serce mówiło mu: „Srul Mojsze! Zarobiłeś pięćdziesiąt srebrnych marek, więc zabieraj się

stąd!". Ale to samo serce również podszeptywało: „Jak długo masz w wozie jedną beczułkę smaru, oraz tuzin czy też parę cholew — to zostań tutaj; jeśli nie ty, przyjdzie ktoś inny". Chciał posłuchać pierwszego głosu serca, ale w końcu uległ bardziej nęcącym podszeptom. A gdy przywykł po upływie kilku dni do Brandenburga, nie obawiał się już więcej „palącego się świecznika" i jechał swym wozem poprzez główne ulice miasta, nigdy naturalnie nie nakrywając swego wozu budą — gdyż budami nakryte były wozy cyganów — a wóz taki wzbudziłby podejrzenie u policjanta.

Był to piąty czy szósty dzień pobytu w Brandenburgu i okolicy. Wczesnym rankiem opuścił gospodę, nie zapominając naturalnie odmówić „Wychodzący pod baldachinem" i pojechał w kierunku jednego z warsztatów rzemieślniczych, gdzie miał dostarczyć smarów. Wjechał wozem w jakąś wąską uliczkę, a gdy znalazł się może w odległości dwudziestu kroków od podwórza warsztatu, ukazał się przed nim nagle „palący się świecznik", jadący zwolna na białym koniu. Srul Mojsze chciał uderzyć konie, by zajechać w podwórze warsztatu, ale mierząc oczyma odległość zmiarkował, że w żaden sposób nie uniknie policjanta i że nagłym uderzeniem koni zwróci tylko podejrzenie na siebie, więc jakby nic, jakby nie widząc jeźdźca na koniu, jechał dalej przed siebie. Policjanta uderzył z daleka wygląd dziwacznej istoty, jakiej dotychczas jeszcze nie spotkał, więc przypatrywał mu się z ciekawością.

Gdy zbliżył się do wozu, poprosił grzecznie, by się zatrzymał. Srul Mojsze popatrzył na

niego i — pociemniało mu w oczach odrazu: Doprawdy sam Wilhelm... Jestem zgubiony, pomyślał z rozpaczą w duchu, a twarz jego zbladła.

I ta twarz powiedziała policjantowi wszystko. Bezzwłocznie zapytał o zezwolenie handlowe. Szereg myśli przeszył mózg Srula Mojsze. W pierwszej chwili chciał nadać twarzy wyraz, budzący litość, ale odrazu zmiarkował, że tym razem nie poszczęści się mu; jeszcze kilka rad zatrzepotało szybkością błyskawicy w jego rozgorączkowanej głowie, ale czuł, że rozpływają się one w niemocy. I oto pytanie tego „Wilhelma" podsunęło mu myśl wprawdzie niebezpieczną, ale innej nie mógł się chwycić.

Gdy policjant spytał o zezwolenie, Srul Mojsze zaczął grzebać rękoma w słomie, między małymi beczułkami smaru, wydobył wkońcu tobołek, rozglądnął się dokoła, a gdy zauważył, że nie ma żywej duszy na ulicy, wyciągnął z tobołka parę czarnych połyskujących cholew, i nie spoglądając na twarz policjanta, siedzącego sztywnie w siodle, zaczął przymierzać jedną cholewę na nogę, utwierdzoną w strzemieniu mówiąc:

„Ja sprzedaję cholewy rosyjskie po najtańszej cenie, jak też one ładnie przylegają do tych nóg, herreli".

Policjant milczał chwilę, zaglądając do wozu i zapytał drugi raz o zezwolenie, lecz Srul Mojsze poznał odrazu po jego głosie, że nie oburza się na niego, wyciągnął także parę brązowych cholew i jakby nie słysząc pytania, dodał: „Mam czarne i bronzowe po jak najtańszej cenie, dwie marki para, jak w Rosji, tutaj płacą dwadzieścia dwie, herreli. Może ku-

pi pan?“ Srul Mojsze spojrzał ukradkiem na twarz policjanta i zauważył, jak ten odwraca głowę, spoglądając za siebie. Srul Mojsze zrozumiał, że weźmie cholewy i zostawi go w spokoju. Zastanawiał się przez chwilę, czy ma mu je oddać za darmo — ale czyż sprzedać za dwie marki, to nie jak za darmo, przecież jedna para kosztuje jego samego siedemnaście? Jednakowoż nie powiedział tego, wiedząc, że policjanci są bardzo wrażliwi na takie rzeczy... Dodał więc: „Herreli, czy chce kupić bronzowe i czarne“?.

Policjant rzucił jeszcze raz spojrzenie dokoła, wyciągnął cztery marki z kieszeni, pośpiesznie wziął z rąk Srula Mojsze dwie pary cholew i zawinął je w gazetę, jaką miał przy sobie.

„Opuść natychmiast miasto“, rozkazał bezzwłocznie, jakby nic między nimi nie zaszło. Ale Srul Mojsze już nie obawiał się go, i poprosił, by mu pozwolił zawieźć jedną beczkę do warsztatu. Policjant niechętnie zezwolił mu na to i krzyknął: „Ale jak najprędzej!“ — i czekał, póki Srul Mojsze nie wyszedł z podwórza. Gdy ten siadł na wóz, przeszło kilka osób, rzucając nań badawcze spojrzenia.

Policjant zagroził mu, mówiąc: „Tylko tym razem pozwalam ci zwiać stąd“. „Bardzo dziękuję“, odpowiedział Srul Mojsze, zdejmując służalczo czapkę. Śmignął batem konie i pośpieszył do zajazdu...

Po upływie godziny był już na drodze do Dessau. Siedział na wozie zmartwiony, z pochyloną głową: Trzydzieści marek stracił na cholewach, na co poszedł trud wielu dni, cóż mu jego znojna praca w końcu przyniosła? W jakimże celu tułał się dniem i nocą polami i lasami, narażony na niebezpieczeństwa ze strony drapieżnych zwierząt, i zbójców, czatujących na bezdrożach?

Dlaczego zapomniał nauczki, jakiej mu udzielił jego pierwszy pobyt w tym przeklętym Brandenburgu, który jest miastem „palących się świeczników“.

Srul Mojsze sam opowiadał każdemu napotkanemu człowiekowi o swych podróżach brandenburskich, by pochwalić się swą mądrością, a opowiadanie kończył zawsze tymi słowy:

„I odtąd moja stopa w Brandenburgu nie stanie nigdy, przenigdy!“.

W SZARE, SMUTNE DNI...

Gdy nadciągały chmury wojenne, wzrosła rozterka wśród smolarzy, którzy przebywali na obczyźnie, i wzmógł się niepokój u ich rodzin w Grajewie. Kobiecina, co to nigdy nie pisywała do swego męża, błąkającego się gdzieś hen, daleko, wynajdowała sobie jakiegoś pisarzynę i dzień w dzień słała listy.

Smolarze pilnie przysłuchiwali się temu, co im z gazet odczytywali właściciele zajazdów, i rozprawiali, czy wojna naprawdę wybuchnie... Wczorajsi śmiertelni wrogowie zasiedli dziś przy wspólnym stole i radzili nad swą przyszłością. Jedna grupa obradowała w Magdeburgu, a druga w Gory. A potem rozjechali się do swych prowincyj, a każdy niósł w sobie troskę o własny los, zapominał o uchwałach, powziętych na zebraniu i postępował tak, jak mu rozsądek dyktował. Jedni pozostali tedy w Niemczech, powierzając się pieczy Wszechmocnego, inni znów sprzedawali całą chudobę, jaką mieli przy sobie, nawet wóz i konie, aby tylko prędzej wrócić do Grajewa, — tusząc, że Bóg będzie czuwał nad ich niepewnym jutrem.

A jednak, — taka snać jest natura człowieka — smolarze, którzy w Niemczech pozostali, zarówno jak ci, którzy wrócili do Grajewa, byli przekonani, że powinni byli postąpić odwrotnie.

Wszyscy posługacze zatrzymali się w Niemczech, gdyż byli w wieku poborowym. Zresztą matki i krewni pisali im, aby nie wracali i nie pchali się w ogień. Rzecz oczywista, że z tych samych względów zostali z nimi również ci smolarze, którzy odbyli już służbę wojskową ale nie osiągnęli jeszcze wieku lat pięćdziesięciu. Dla wszystkich było rzeczą oczywistą, że wojny wywołują poniektórzy władcy, którzy pragną orężem rozsławić imię swego majestatu, nie dziw tedy, że nie uważali służby wojskowej za obowiązek, któremu muszą się poddać.

Gdy patrzali na młodych i starych Niemców, którzy demonstrowali po ulicach miast, dziwili się: Jakże można cieszyć się bliskością śmierci? Jaki interes każe tym głupcom maszerować do granicy i mordować ludzi, takich samych, jak oni, którzy również przybyli z wnętrza kraju. Tak oto myśleli smolarze, którzy pozostali w Niemczech. Nieinaczej patrzyli na problem wojny ci, którzy wrócili do Grajewa. Nie dziw tedy, że gdy niewiasta nakłaniała swego męża do powrotu do domu, — ten żartobliwie odpowiadał: „Jakże mogę wrócić, skoro mieszkańcy Grajewa chcą ze mną walczyć". Ów humor był jednak zmącony niezgłębionym smutkiem, który opanował wszystkich, od rabina do tragarza.

Takimi już są mieszkańcy nadgraniczni. Dziwni to ludzie; żyją pod jednym i tym samym niebem, na którym nie ma słupków granicznych; nie odróżniają tedy jednej ojczyzny od drugiej.

Każdy obywatel Grajewa stawiał sobie wówczas — wedle swego rozsądku i umiejętności wyrażania się — takie mniej więcej pytania: Czym właściwie różni się ziemia Grajewa od Prostken?

I co to za siła, co każe kochać Rosję aż do granicznego pasa Grajewa — i ani o włos dalej!? I co to za moc, która budzi u Niemców miłość do ojczyzny, sięgającej do granicy — i ani o jedną piędź dalej!?

Ludzie z nad granicy zbyt dobrze się znają, by mogli pojąć, co to jest nienawiść narodowa, która wpycha w rękę szablę czy poprostu, długi nóż — i każe zarzynać ludzi.

A wiadoma rzecz, że smolarze — to ludzie z nad granicy. Niemowlęta z Grajewa otulone są w pieluszki, zakupione w Prostken, a dzieci w Prostken karmi się mlekiem i masłem, pochodzącym z Grajewa i okolic.

Gdy smolarze wrócili do swych domów na kilka dni przed Tisza-baw i zauważyli, że w Grajewie skoncentrowano duże ilości wojska, przerazili się. Gdyby mogli, opuściliby domostwa i wróciliby do Niemiec, gdzie wprawdzie wszystko zajęte było wojną, gdzie żołnierze również zapełniali ulice, ale wystrojeni byli jak do tańca i maszerowali przy dźwiękach orkiestr, jak w jakąś niedzielę, czy w dzień urodzin członka rodziny cesarskiej.

Nie słyszano jeszcze ani jednego strzału, nie zabłysła ni jedna iskierka, ale od nieprzyjaciela bił już zapach prochu, a gdy wieczorami czerwona łuna rozgorzała nad niebem niemieckim — strach przejmował mieszkańców Grajewa.

Smolarze przesiadywali w bożnicach, gdzie przysłuchiwali się wiadomościom, zaczerpniętym z gazet. Czytelnicy gazet i jeszybotnicy opowiadali im o najnowszych wydarzeniach. Gdy doszły do nich piękne hasła wygłoszone przez mężów stanu, ciężar spadał im z serca. Ale dziwili się, że

mimo pokojowe zapewnienia — gromadzono tyle wojska: Po jakie licho, ta cała zabawa z żywymi żołnierzykami? W jakim celu sprowadzono ich tutaj? A owe manewry za cmentarzem obok koszarów i na drodze szczecińskiej?

Ale skoro opuszczali bożnice, a oczom ich przedstawiał się widok kozaków, dział i wozów polowych, — uderzał w nich zapach prochu i upadali znowu na duchu.

I wojna wybuchła.

W piątek wrócili kupcy grajewscy z Niemiec, a już w sobotę — przed wypowiedzeniem wojny — Rosjanie puścili z dymem stację kolejową, wysadzili w powietrze magazyny, zerwali szyny kolejowe — w o j n a. Jakże naiwni byli mieszkańcy okolic granicznych: sądzili, że to już naprawdę wojna. Opuścili tedy mieszkania, skryli się do piwnic, gdzie umieścili pierzyny i mienie, a potem, — gdy ucichło nieco — wyszli na światło dzienne, bezradnie pętali się po ulicach, z lękiem spoglądali na kłęby dymu, wijące się nad stacją kolejową, a przy każdym odgłosie dynamitowego wybuchu — trwożnie uderzało im serce, a mózg przeszywała myśl: koniec...

Dopiero w kilka dni potem poznali prawdziwą wojnę. Nieustanne salwy karabinowe rozbrzmiewały po obu stronach granicy, na ulicach gruchotały kule i gęsto eksplodowały bomby.

Miasteczko opustoszało wtedy prawie całkowicie. Pozostała jedynie biedota. Kto miał parę groszy, brał nogi za pas, uciekał z Grajewa przez Łomżę okrężnymi drogami do Białegostoku.

Okazało się wówczas, że smolarze byli zamożniejsi od miejscowych bogaczy, którzy towar swój posyłali w głąb Rosji lub do odległych ziem niemieckich, a wybuch wojny zastał ich bez grosza w gotówce. Nie dziw tedy, że spora grupa smolarzy znalazła się wśród rzesz uchodźców w Białymstoku, a między nimi Srul Mojsze z całą swą rodziną, z zięciami i wnukami, Zelig Byk i Zelda, żona Elkuny. Zelda zaoszczędziła sobie nieco pieniędzy na poczcie, ale nie otrzymała z nich ani grosza, — na szczęście schowała sobie w węzełku, zawieszonym na szyji, jak talizman — dwieście rubli, które otrzymała od Elkuny — ten bowiem, od kiedy się z nią przeprosił, przesyłał jej niemało pieniędzy. — Ów węzełek uratował ją. Zelda nie mogłaby bowiem zostać w Grajewie, gdyż dom jej legł w gruzach, zburzony przez bomby.

Również Meirowi przytrafiło się nieszczęście. Kiedy wrócił z Niemiec, — a było to na trzy dni przed wybuchem wojny — doniósł ktoś władzom, że jest szpiegiem, wobec czego został aresztowany, skuty w kajdany i zesłany w głąb Rosji razem z Niemcami z Prus Wschodnich, a przez dłuższy czas zaginął wszelki słuch o nim.

Rozpoczął się wówczas okres smutnych, gorzkich dni nietylko dla smolarzy ale dla wszystkich uchodźców: ludzie ongiś bogaci podupadli zupełnie i żyli ze wsparć jawnych czy skrytych, a jeden z nich, niedawny potentat Grajewa, w którego rękach spoczywał kiedyś „klucz granicy", stał się przedmiotem drwin w Białymstoku. Gdy przyzwyczajono się nieco do atmosfery wojennej, wróciło wielu do Grajewa: sprzedawali tam chleb, herbatę i papierosy żołnierzom, a niektórzy nawet dorobili się przy tym majątku. Żyli wprawdzie w wiecznym strachu przed kozakami z Sybiru, ale w pocie czoła na chleb zarabiali. Smolarze jednak nie odważyli się wracać, gdyż obawiali się zarzutu szpiegostwa: wszak życie całe spędzili w Prusiech. Lada pies mógłby ostrzyć sobie na nich język i sprawić im los Meira, syna Lei. Pozostali tedy w Białymstoku, gdzie zjadali resztki swego mienia.

Początkowo spodziewali się, że wojna po kilku tygodniach się skończy: skoro armia rosyjska ponosi takie klęski, to za miesiąc chyba będzie już po wszystkim. Ale gdy mijał miesiąc za miesiącem, a wojna rozgorzała na dobre, — stracili wiarę w rychły jej koniec. Coprawda cały świat jest przeciw Niemcom, ale kto zna tak dobrze Prusaków, jak oni, jak smolarze! Uparty to naród! Padnie wprawdzie, ale wpierw zniszczy świat!

Żydzi z Białegostoku nienawidzili Rosjan — pamiętne jeszcze były dni pogromów — i życzyli Niemcom zwycięstwa; jedynie smolarze wypatrywali klęski Niemców. Mieszali się oni do namiętnych rozmów, toczonych wśród uczniów jeszywy i mawiali: „Jeśli, broń Boże, Niemcy zwyciężą, — świat zostanie zburzony!"

Pewnego letniego dnia pojawiło się nad miastem siedm samolotów, które zrzucały bomby na ulice. Srul Mojsze był wówczas w bożnicy — chodził mianowicie trzy razy dziennie się modlić. Wszyscy obecni schronili się za arkę przymierza. Nagle wybuchła bomba na dziedzińcu bożnicy. Gdy modlący uspokoili się, zawołał Srul Mojsze: „A zawsze mówiłem wam, że nie wiecie, co to jest „jeki" — psia krew! Na miasto,

na cywilów rzucają bomby, — aby ich licho wzięło, aby ponieśli sromotną klęskę". Gdy zaś wyszli na ulicę i dowiedzieli się, że padło sto czterdzieści ofiar bombardowania, a w tym wiele kobiet, — zawrzała krew w Srulu Mojsze, który jak opętany biegł od smolarza do smolarza, klął siarczyście Amaleka i Niemców, wszystkich Niemców, których kiedykolwiek poznał. A gdy przypominał sobie jakiegoś znajomego Niemca, wołał: „I ten jest łotrem... psem od dawien dawna..." Wspominał ich grzechy i modlił się o klęskę dla nich.

WOJNA.

Dzień wlókł się za dniem, rubel za rublem ubywał, a Srul - Mojsze wzdychał: „Nieboszczyk i rubel, gdy raz znajdą się za domem, nie zobaczysz ich nigdy! Tak, żono moja, Brajno, sakiewka nasza nietylko nie pęcznieje, lecz chudnie z dnia na dzień..."

A Brajna oszczędzała i zaciskała pasa, ale Srulowi Mojsze nie starczyło to: „Lepiej głodować nieco, niż zdać się na łaskę drugich". Ponieważ jednak nie próbował już nawet przewidywać, kiedy wojna się zakończy, przeto trapiła go obawa, że mimo oszczędzania będzie zmuszony pójść na żebry. I łzy mu z oczu spływały. Jedyną jego przyjemnością było przesiadywać w bożnicy, gdzie mógł przysłuchiwać się kazaniom magida brzeskiego, który prawił o możnych, co to podupadli, o cnocie miłosierdzia, o matkach, które swe dziatki straciły, o biednych sierotkach, — słuchacze płakali jak bobry, a wraz z nimi Srul Mojsze. Płakał i dobrze mu było. Nie miał wprawdzie synów, ale iluż jego krewnych i znajomych powołano na front i Bóg raczy wiedzieć, czy jeszcze żyją! Wiele myślał wówczas nad tym. Zwracał się wtedy do swej Brajny: „Pamiętasz, jak pragnęliśmy mieć syna? Ale teraz dobrze nam bez męskiego potomka". I Zeldę, żonę Elkany w podobny sposób pocieszał: „Nie wolno ci Zeldo, trapić się tym, że nie masz dzieci. Jak Boga ko-

cham, że nie warto wychowywać ich i posyłać w ogień, aby miotano na nich bomby i mordowano ich w biały dzień".

Zelda zadumała się nad tymi uwagami i poraz pierwszy w życiu zgodziła się ze swoim losem bez szemrania. Uważała za nieszczęsnych tych rodziców, którzy mieli synów, a nawet córki — tam bowiem, gdzie są córki tam są i zięciowie. Jak dobrze jej było, gdy zdawała sobie sprawę z tego, że wolna jest od owej najboleśniejszej troski, od obawy o los dzieci, wydanych na rzeź! Zelig Byk, którego bratanek służył w wojsku od chwili wybuchu wojny, — chodził zawsze zachmurzony i odprowadzał przekleństwami każdego napotkanego generała czy dygnitarza wojskowego. Przeklinał Rosjan i Niemców, świat cały, wygrażał się nawet niebu.

Czy doprawdy mają królowie serca ludzkie, skoro nawołują do rozlewu krwi? A jeśli Bóg w niebiesiech jest sprawiedliwy, — czyż zaprawdę słuszne jest, aby niewinni ludzie ginęli, a generałowie i oficerowie spędzali beztrosko czas w Białymstoku na pijatykach i hulankach w domach publicznych i w podejrzanych lokalach? Nieraz spierał się Zelig z Srulem Mojsze na temat magida. „Magid bierze w obronę Boga, który nie potrzebuje obrońcy, — ale faktem jest, a nie zaprzeczy temu i stu magidów, że na front nie posyła się łotrów, lecz niewinną trzodę. Na czym — dam ci przykład — polega grzech mojego brata? Proszę cię, owszem, powiedz mi, jaki to grzech był, — niech twój magid na to odpowie!" Tak oto mawiał Zelig Byk, a Srul Mojsze milczał i myślał sobie w duchu: „A może przecież Zelig ma rację, ale... może i nie..."

Gdy wieczorem przysłuchiwał się kazaniu magida, dochodził do przekonania, że żale Zeliga były niesłuszne, choć — zaznaczyć należy — nie pojmował tak dobrze treści wywodów. Pewnego razu zauważył także Zeliga Byka, przysłuchującego się magidowi z płaczem głośniejszym nawet od jego szlochu...

Owej nocy, w której Niemcy zdobyli Białystok, gdy ogniste języki pełgały ze wszystkich stron miasta, a od armatnich grzmotów włos stawał dęba, Srul Mojsze wcisnął się w kąt piwnicy i z zazdrością myślał o smolarzach, którzy pozostali w Niemczech. O, musieli zapewne objąć wszystkie „prowincje", robią prawdopodobnie interesy z władzami, i żyją sobie spokojnie na ziemi, której nie dotknęła niszczycielska stopa nieprzyjaciela.

Każdej silniejszej eksplozji towarzyszyły przekleństwa Srula Mojsze: „To Prusak, psia jego krew była... to Amalek, — abyś zdechł!"

Na drugi dzień po zdobyciu miasta, wielka radość zapanowała wśród smolarzy. Nienawidzili wprawdzie dumnych Prusaków, ale gdy przed człowiekiem stoi problem życia, wówczas opanowany jest jedną i jedyną wolą: żyć! Spodziewali się, że obecnie będą mogli wrócić do Grajewa, a stamtąd do Prus, do swych „prowincyj", do chłopów. I znowu będą mogli się nacieszyć dźwiękiem monety w kieszeni. Gdyby musieli jeszcze rok żyć pod władzą rosyjską, ostaliby się chyba z torbami. W upadku Białegostoku widzieli przeto palec Boży.

Wszystko układało się nie najgorzej. Nie zezwolono im wprawdzie od razu na powrót do Grajewa, ale po upływie miesiąca udzielono

pierwszych zezwoleń. Srul Mojsze był jednym z tych szczęśliwych, którzy otrzymali przepustkę.

Zelig Byk miał większe aspiracje: starał się mianowicie o przepustkę do Magdeburga. Oficerowi z komendy okazał rachunek pewnej fabryki z Magdeburga na dowód, że pozostawał w stosunkach handlowych z tym miastem. Skoro oficer nie ulegał jego prośbom, zaczął mu Zelig wyliczać nazwy ulic Magdeburga i okolicznych wsi, ale nic tym nie wskórał. Gdy przychodził dzień w dzień i zawsze się spotykał z odmową, chciał poszukać sprawiedliwości u samego komendanta. Cóż tu dużo opowiadać! Historia skończyła się w ten sposób, że Zelig odbył drogę powrotną na schodach, którymi staczał się w dół, tak mocno pchnięto go. Wtedy dopiero pogodził się ze swym losem i wrócił do Grajewa.

Smolarze spodziewali się, że z ich powrotem do Grajewa nastąpi koniec wojny; nieinaczej myśleli nawet najwięksi sceptycy wśród nich. Niestety, dopiero wtedy rozpoczęły się nieszczęsne dni, wobec których czasy białostockie były idyllą... Grosz ubywał z kieszeni, sakiewki opróżniły się do dna. Prusak konfiskował nawet środki żywnościowe i ściągał cholewy z nóg. Połowa mieszkańców Grajewa zdana była na jałmużnę. Ale kto mógł wówczas popierać biednych? Stali tedy godzinami całymi w długich ogonkach, aby nabyć chleb z otrębami i porcję cukru, a ci, którym nie starczyło pieniędzy, wydani byli na pastwę głodu. I tak głodowali smolarze. Sprzedawali całe swe mienie: naczynia i ubrania. Żony ich pozbywały się złotych łańcuszków i sznurów pereł, a Prusak, który sprawował tyrańską władzę, nie uwzględniał wcale tego, że smolarze żyli przeważnie w

Prusiech i w żaden sposób nie chciał im zezwolić na wyjazd do Niemiec. „Powinniście raczej pójść do łaźni, a nie do Niemiec" — kpił z nich pan komendant. „A znamy was, znamy!" mówili między sobą smolarze, sypiąc przekleństwami. Srul Mojsze, Zelig Byk i wielu innych — zdani byli na jałmużny. Ze wstydu i zgryzoty starzeli się przedwcześnie i słabli. „Trudno, mówili, inni muszą cierpieć, ale my? Wszak znajdowaliśmy się w kraju mlekiem i miodem płynącym, póki pewnego ranka nie opętał nas jakiś bzik. Sami, własnymi rękoma nastawiliśmy na siebie pułapkę".

Szczególnie zaś rósł ich ból, gdy do Grajewa dochodzić zaczęły listy z Niemiec od smolarzy, niedawnych posługaczy, którzy nawet przysyłali nieco pieniędzy...

Srul Mojsze omal nie oszalał wówczas: Chaskiel przesyła pieniądze, Chaskiel - posługacz, a on „pracodawca", gospodarz, chodzi opuchnięty z głodu, drżący z zimna, odziany w łachmany!

I tak mijał miesiąc za miesiącem. Już rok cały! Czy zaprawdę stan ten potrwa jeszcze całe miesiące? A wojna trwała.

Brajna zachorowała z głodu. Tak, z głodu! A Srul Mojsze, silny za młodu, trzymał się jeszcze na nogach, ale twarz jego zmarniała, a z brzucha — oto świadectwo jego tragicznego położenia — ślad nie pozostał. Tylko surdut postrzępiony, — zwisał na nim jak worek i świadczył o potężnym brzuchu, jaki niegdyś, dawno temu...

Zelig Byk musiał pójść drzewo rąbać, a towarzyszył mu w tej robocie wnuk reb Anszla, bogacza grajewskiego, który stoczył się tak nisko.

Niektórzy smolarze przedzierzgnęli się w nosiwodów, a znaleźli się i tacy, którzy zmuszeni

byli żebrać — coprawda nie o pieniądze, lecz o jakąś strawę.

Srul Mojsze jednak nie mógł się zdobyć na nic podobnego, nie dziw przeto, że cierpiał i głodował gorzej od innych. Doszło do tego, że napisał list błagalny do Chaskla, który bawił w Dessau, i prosił go o dziesięć marek pożyczki. Gdy Srul Mojsze otrzymał od Chaskla dwadzieścia marek, rozpłakał się, a zawtórowała mu szlochem Brajna. Ona — z radości, gdyż dawno już nie widziała grosza, a on z bolu, że musiał przyjąć wsparcie tego smarkacza, że zdany jest na litość własnego pomocnika, któremu kiedyś dawał chleb. „Na Boga! — zwrócił się do swej żony — gdybyście mnie pokroili na drobne kawałki, nie znaleźlibyście we mnie ani kropli krwi". Rzekłszy to, wybuchł wielkim płaczem.

Gdyby Zelda nie zanosiła czasem starym trochę kaszy i kromki chleba, pomarliby chyba z głodu. I ona, nieboraczka, przeżyła ciężkie dni, ale potem zaczął jej Elkana przesyłać pieniądze. Popierała Srula Mojsze, bo była mu wdzięczna za słowa pociechy, jakimi łagodził ból bezdzietnej kobiety; była to zresztą dobra kobiecina.

A wojna trwała nadal. I wydawało się, że ciągnąć się ona będzie conajmniej dziesięć albo dwadzieścia lat. A dlaczego nie? Nauczyciel hebrajskiego opowiadał w bożnicy o wojnie trzydziestoletniej — a i wtedy brał w niej udział „jeky"! A przecież na Boga świętego! — dzień w dzień padają ludzie na pobojowiskach, dzień w dzień konają z głodu, a świat milczy, a wojna trwa?

Cmentarz w Grajewie ciągle się zwiększał. Umierali starzy, a nikt nie zauważał ich braku,

dzieci umierały cicho, jakby w ogóle na świat nie przyszły. I Zelig Byk skonał. Przeziębił się przy rębaniu drzewa. Jego śmierć podziałała przygnębiająco na Srula Mojsze. „A teraz kolej na mnie" — powiedział, gdy wrócił z pogrzebu.

„Durniu jeden! — zbeształa go Brajna. — Będziemy żyć! Wrócisz jeszcze do swej „prowincji" — przepowiadała mu Brajna, która od dłuższego czasu leżała chora. Z choroby tej nie podniosła się już nigdy.

A Srul Mojsze stanął nieruchomo i nie wydobył z siebie ani słowa. Zabłysła w nim iskierka nadziei: „A może!" — Słowo to przeszło mu przez mózg, w którym powstał cudowny obrazek: Oto siedzi między beczkami smoły na wozie pod budą, a Chaskiel i Zalman popędzają konie...

„Może" — słowa tego nie odważył się wypowiedzieć głośno, lecz w skołatanym i zbolałym sercu zajaśniał promyk świetlisty.

„Kobieta jest niekiedy prorokinią", pomyślał sobie i uśmiech zadrgał na jego mizernej twarzy.

A wojna trwała, bez celu szalała po świecie i nie znalazł się już prawie nikt, któryby pamiętał szczęśliwe dni pokoju.

OSTATNIA PODRÓŻ.

„Kto zwyciężył? Ktokolwiek odniósł zwycięstwo — my przegraliśmy", — wzdychał stary Srul Mojsze, gdy usłyszał o zawarciu pokoju. „My" — to znaczy smolarze.

W ostatnich miesiącach wojny nadchodziły z zagranicy ponure wiadomości. Wynikało z nich, że handel smołą zamarł w zupełności na wsi niemieckiej. Ze wszystkich smolarzy, którzy powrócili do Grajewa, jeden Srul Mojsze został przy życiu. Meir, syn Lei, został zesłany na Sybir i — jak opowiadano — zginął w więzieniu w Archangielsku, — nikt jednak nie wiedział, gdzie został pochowany.

Inni zbiegli do Rosji i pamięć po nich zanikła, jak po nieboszczykach. Spośród tych, którzy w Niemczech pozostali — jeden zakończył życie w obozie koncentracyjnym jeńców, a drugi poprostu zachorował i zmarł. Inni rzucili się do nowych zawodów czy branż, albo wybierali się do swych dzieci w Ameryce. Dawni pracodawcy znikli z powierzchni, a na ich miejsce wypłynęli posługacze, którzy na własną rękę zabrali się do interesu i stali się bogaczami. — Ci nie jadą już z beczkami po wsiach, ale ze słoikami, zawierającymi próbki, na podstawie których otrzymują zamówienia i przekazują je fabrykom.

„Głupcy — mawiał o nich Srul Mojsze — zdradzają fabrykom nazwiska swych odbiorców

tak, że pewnego dnia przepędzą ich na wszystkie strony świata, jak psów". Nie mógł również pojąć, jak też chłopi wierzą tym agentom, skoro w słoiku nie ma smaru nawet na lekarstwo. Odpowiedź na to pytanie znajdował tylko w tym, że „jeki" jest wałkoniem, któremu wszystko wmówić można.

Dziwnym wydawało mu się, że Elkana nie stracił gruntu pod nogami. „Ten zawsze był gojem i nadawał się raczej na księdza w Częstochowie, niż na smolarza" — wyjaśniał swej żonie. „My, jedynie my ponieśliśmy klęskę, my smolarze" — wzdychał.

Mimo wszystko nie popadł w rezygnację. Pewnego dnia zdobył się na to, że napisał list do swego dawnego Chaskla. Wkrótce przyszła odpowiedź tej mniej więcej treści: „Czasy się zmieniły. Obecnie nie ma tu miejsca dla starych". Srul Mojsze po przeczytaniu tego listu pienił się ze złości: „Ten niedołęga, który nie potrafi odróżnić między smołą a smarem, który nie potrafi pomówić z chłopem, jak należy, — ten nicpoń zbywa mnie kilkoma słowy!" Napisał tedy do swego drugiego posługacza, Zalmana, który jednak nie odpowiedział, ale polecił swej żonie, mieszkającej w Grajewie, aby dała Srulowi Mojsze pięć marek. Ten jednak podarł banknot pięciomarkowy na strzępy w jej obecności wołając: „Ja, Srul Mojsze jeszcze żyję. Powiedz swemu mężowi, że będzie mnie jeszcze błagał o jałmużnę!"

Tymczasem młodzi ludzie opuszczali Grajewo i ruszali w świat szeroki, do Niemiec, Francji a nawet do Ameryki. Nie mało poświęciło się w Niemczech smolarstwu, ale na nową modłę, a więc, jako agenci fabryczni. Nieźle zarabiali a ro-

dziny ich, pozostałe w Grajewie, stanowiły obecnie śmietankę miasteczka.

Zajęcie smolarzy nie było już przedmiotem wzgardy, jak dawniej. Nawet poważani obywatele oddawali się temu zawodowi i nazywali się kupcami smarów, a nie smolarzami. Lecz dla Srula droga była niestety zamknięta...

Ale smolarza nie wstrzymasz od powrotu do jego „prowincji". Mimo wielkie trudności udało się Srulowi - Mojsze przekroczyć granicę i przybyć do Dessau. Swą chorą żonę, Brajnę, zostawił u jednej z córek i puścił się w drogę. Córki próbowały go zatrzymać: „Ojcze — mówiły — zostań lepiej w domu i żyj zdrowo przy nas. Pieniędzy jakoś nam nie zabraknie tym bardziej, że i z Ameryki przysyłają nam coś siostry". Lecz Srul Mojsze uparł się: „Powinniśmy żyć z pracy własnych rąk!" Nie żałował pieniędzy na uzyskanie zezwolenia na wyjazd do Niemiec, po czym wybrał się w podróż.

Gdy stanął wreszcie na dworcu w Dessau i zobaczył pomnik Mendelsohna, łzy mu się zakręciły w oczach. O, bo Srul - Mojsze dobrze wiedział, że Mendelsohn to „filozoficzna głowa". Na pomniku nie można było zauważyć żadnych zmian, — Srul - Mojsze poddał się tedy miłemu złudzeniu, że nigdzie nie zaszły zmiany. Płakał więc z radości, ale nietylko z radości. Bo oto gdy opuścił Dessau, był zdrów i mocny, a teraz jest stary i złamany. Gdyby się nie wstydził i nie obawiał, oparłby głowę o ten pomnik i zapłakałby nad swą dolą.

Następnie skierował swe kroki do „Białego Niedźwiedzia". W pierwszej chwili właściciel zajazdu nie poznał go, ale potem ucieszył się nim i

opowiadał mu, że dwaj jego synowie padli „za ojczyznę", a trzeci został ranny i poddał się amputacji nogi, — gdy zaś skończył opowiadanie, zapominał już o swoim słuchaczu, o Srulu Mojsze. Ten zaś udał się do Chaskla. Z początku wahał się wprawdzie, czy ma zaszczycić tego draba swoją wizytą, lecz w końcu poszedł. Nie wolno mu się bawić w „gniewanie się", skoro jest stary, słaby i zdany na pomoc Chaskla. Zresztą cała pisanina Chaskla to wynik jego głupoty, a głupiemu należy wybaczać.

Gdy żona Chaskla zauważyła starego Żyda, odzianego w łachmany, wspinającego się po schodach do jej mieszkania, przypomniała sobie Grajewo i żebraków z tego miasteczka. Już chciała powiedzieć, że owszem, da mu coś przekąsić w przedpokoju, ale gdy usłyszała głośne „dzień dobry!" poznała go odrazu i prawie zlękła się pierwszej myśli, która się jej nasunęła.

Srul Mojsze jednak zrozumiał jej obawę: „Ależ nie bój się! Nie będę dla was ciężarem. Broń Boże!" Wprowadziła go do wnętrza i posłała po męża.

Srul Mojsze tymczasem rozglądał się dokoła. Oto stół okryty pięknym obrusem, jakiego nie można było zauważyć nawet u Anszla bogacza z Grajewa. „O, pieniądz przemienia posługacza w pana..." — pomyślał.

Nie pytając o zezwolenie otworzył drzwi do dalszego pokoju, gdzie stały 2 łóżka, a raczej jedno szerokie, i szafa połyskująca lustrem. „No, patrzcie! Za moje pieniądze, za zarobki osiągnięte od moich odbiorców wzbogacił się ten człowiek", — zgrzytał zębami.

Gdy Chaskiel się zjawił, chciał mu Srul Mojsze paść na szyję, ale ten odsunął go od siebie, czym gość uczuł się bardzo dotknięty, ale połknął obrazę. „Zdarzają się czasem chwile, w których człowiek musi przywiązać wąsy do brody, aby nie otworzyć ust", — pomyślał sobie w duszy.

Potem usiedli na dwie godziny, rozmawiali, jedli i pili do syta, następnie poszli do „Białego Niedźwiedzia". Wieczorem zaś oświadczył Chaskiel: „Będziecie, Srul Mojsze nocowali tutaj, u mnie w domu nie ma miejsca". Srul Mojsze omal nie podskoczył: „W trzech pokojach nie znajdzie się jakiś kąt dla mnie?" Chaskiel się zaśmiał: „Inne to czasy. Moja żona skarży się na ciasnotę i słusznie, ale teraz nie ma odpowiednich mieszkań w mieście."

„Dawniej oszczędzaliśmy bardziej" — odburknął Srul Mojsze, a w duchu pomyślał sobie, że przecież zna dobrze żonę Chaskla i pamięta jeszcze te czasy, w których była posługaczką w domu swego krewnego, a była wtedy tak biedna, że własnej koszuli nie miała.

Właściciel zajazdu nie udzieliłby Srulowi Mojsze noclegu. Gość ten wydawał mu się bowiem niezbyt czysty, lecz przyjął go ze względu na Chaskla, który w jego gospodzie załatwiał swe interesy z chłopami.

Nazajutrz udał się Srul Mojsze wprost do Chaskla. Z pokoju słyszał szept żony Chaskla. „Pewnie toczy się rozmowa o mnie" — pomyślał sobie i łzy cisnęły mu się do oczu. Wiele myśli przeszło mu przez głowę, a między innymi również ta, że chyba powinien się zrzucić z dachu na ziemię...

Żona Chaskla nie pokazywała się w pokoju, a gdy Srul Mojsze zabierał się do odejścia, otworzył drzwi do kuchni i zawołał donośnie: Dowidzenia! Zdawało mu się, że nie otrzymał odpowiedzi. Powiedział tedy do Chaskla, gdy schodzili na ulicę: „Właściwie, nie będę ci przeszkadzał", a skoro Chaskiel przyjął te słowa milcząco, dorzucił: „Siedm dni uczty minęło — cóż dalej?" A Chaskiel nie przerywał milczenia i szedł z opuszczoną głową. Srul Mojsze wpadł w zapał: „Nie wymarli jeszcze odbiorcy moi, nie znikli jeszcze ci chłopi, którzy wolą właśnie smar z beczek bezpośrednio... Proponuję ci, Chasklu, spółkę... będziemy razem objeżdżać kraj".

Chaskiel ledwo powstrzymał się od śmiechu i odrzekł: „Jestem zbyt zajęty swymi własnymi interesami, ale udzielę wam pożyczki pięćdziesięciu marek i — Bóg z wami!" Srul Mojsze nie wiedział, co począć: pochwalić go za jego dobroć, czy złajać go?

„Gdy ty zdobyłeś cały kraj, cóż mi pomogą pieniądze?" — rzekł drżącym głosem. Chaskiel odpowiedział na to: „W Anhalcie pracuje dziesięć osób wedle dawnego sposobu i jakoś zdobywają dla siebie zarobek". Na taką odpowiedź krew zakipiała w żyłach Srula Mojsze: „Ja stworzyłem podstawy dla ciebie, a obecnie jestem piątym kołem u wozu!" Powiedziawszy to, znikł z oczu Chaskla.

Srul Mojsze pojechał więc do Zerbst. Panował tam niepodzielnie Zalman, również jego dawny posługacz. Nie sprowadził on jeszcze swej żony z Grajewa i mieszkał w dwóch pokojach obok zajazdu, który — wedle słów Srula Mojsze — wzbogacił się na nim.

W gospodzie nie zastał dawnego właściciela. Opowiedziano mu, że zmarł już. Srul Mojsze westchnął i zdawało mu się, że sam się znajduje blisko grobu. Zalmana nie zastał, chodził tedy po ulicach miasta do wieczora. Znajomi jego powymarli, a ci, którzy zostali przy życiu, przyjęli go ozięble. Nie dziw tedy, że czuł się obco i nieswojo w tym mieście, w którym spędził swe najlepsze lata.

Gdy zauważył zdaleka Zalmana, podbiegł doń, jak do swego dziecka. Pamiętał jednak pierwsze spotkanie z Chasklem i nie padł mu na szyję, lecz uścisnął mocno jego dłoń. „Gdzie jest kobieta, tam diabeł przebywa" — wyrwało się Srulowi Mojsze, który zaczął miotać przekleństwa na Chaskla i jego żonę tak, że Zalman musiał go uspokoić: „W mieszkaniu pomówimy o tym".

Gdy Srul Mojsze znalazł się w mieszkaniu i zauważył piękne, błyszczące meble, wpadł w zachwyt. — „Bez uroku" — szeptał bez przerwy, ale w sercu burzył się i złościł. Zalman wydawał mu się łagodniejszy niż Chaskiel. Nie dziw. Wszak był jego posługaczem od dzieciństwa. Odrazu tedy przystąpił do rzeczy: „Słuchaj Zalman, chciałbym zarabiać na chleb codzienny wspólnie z tobą".

W tej chwili zadzwonił telefon, do którego Zalman przystąpił. Z odpowiedzi jego wnioskował Srul Mojsze, że mowa o większej dostawie smaru. „Ile możesz zarobić na tej transakcji?" — zapytał potem. Zalman odrzekł, że obecne zarobki są marne ze względu na wielką ilość konkurentów, którzy niedawno temu przybyli z Polski i dobrze znają „czarne punkty". W tym

miejscu znalazł Srul Mojsze okazję do powtórzenia swej zasady: „Stary Pan Bóg jeszcze nie umarł. Prosty wóz napełniał nasze pasy monetami srebrnymi". Zalman mu wyjaśniał, że czasy się zmieniły, że telefon zastąpił wóz i konia. Na koniec dodał, że gdyby znalazł uczciwego spólnika, wówczas żaden z tych smarkaczy nie dotrzymałby mu pola. Na to Srul Mojsze: „Po pierwsze, czasy się nie zmieniły. To wy je przemieniacie. Czasy się same nie zmieniają. A po drugie, czy obawiasz się, że będę cię oszukiwał, skoro zawrzesz ze mną spółkę?" Zalman uśmiechnął się i rzekł poprostu:

„Czyż umiecie pisać? Skoro obaj nie znamy sztuki pisania, a wy jeszcze mniej ode mnie, — telefonować także zapewne nie umiecie, — więc cóż za interes będzie przedstawiała spółka dwóch kalek?" Ostatnie słowa wyrzekł z litości nad starcem i dlatego postawił siebie w równym rzędzie z nim. Ta sama litość dyktowała mu następne słowa: „Skoro chcecie pracować ze mną, szukajcie chłopów na jarmarku, inkasujcie pieniądze w Zerbst, znajdę dla was jakąś robotę i będę wam płacił 10 marek tygodniowo". Czterdzieści marek miesięcznie! Pocóż tedy ma się włóczyć po wsiach? Stary omal nie rozpłakał się z radości. W nocy, gdy leżał na poddaszu, sen mu się nie kleił: fortuna kołem się toczy, — bo w istocie rzeczy został pomocnikiem swego dawnego posługacza, sługą swego sługi, czy to zaprawdę uchodzi? I cóż powie Grajewo, gdy się o tym dowie?

Nazajutrz wczesnym rankiem, gdy Zalman leżał jeszcze pogrążony we śnie, obudził go Srul Mojsze i mamrotał coś do niego. Ostatecznie

wydobył z siebie kilka jasnych słów: prosił go, aby nikomu nie zdradził, że pracuje u niego za miesięcznym wynagrodzeniem, lecz jako udziałowiec procentowy.

„Pracą nie należy się wstydzić" — oświadczył Zalman. A przecież — prosił się Srul Mojsze, jak dziecko..

No dobrze, dobrze, powiedział w końcu Zalman pobłażliwie i Srul Mojsze uspokoił się.

Mijał tydzień za tygodniem. Z początku odnosił się doń Zalman z należną czcią: Wszak jest już w podeszłym wieku, a nadto był kiedyś jego chlebodawcą.

Ale stary nie pomagał mu w niczym: Gdy telefonowano, wołał jego do aparatu, gdy posyłał go na zainkasowanie pieniędzy, nikt nie chciał starca przepuścić przez swój próg. Z biegiem czasu stał się dlań Srul Mojsze ciężarem. Wtrącał się do wszystkiego, obrzucał chłopów głośnymi przekleństwami, jak za dawnych czasów; a gdy Zalman przychodził do domu, aby nieco wytchnąć, nużył go stary opowiadaniami, które już słyszał po raz setny i pierwszy... Również Srul Mojsze nie był zadowolony ze swej pracy: nudziła go bowiem, nie spodziewał się podwyżki, nie pogodził się z losem posługacza, a jego stary mózg szukał wyjścia. Miał wprawdzie nieco pieniędzy, za które mógł nabyć wóz i konia, ale skoro zarabiał u Zalmana czterdzieści marek, nie miał chęci rezygnować z chleba, aby szukać za masłem... Ostatecznie udało się przecież Zalmanowi namówić Srula Mojsze, aby sobie kupił konia i wóz, który naładował towarem, i posłał go na wieś. Uczynił to głównie po

to, aby się pozbyć starego i nie oglądać jego twarzy dzień w dzień...

Któż mógł dorównać Srulowi Mojsze w owych pierwszych dniach?

I teraz rozpoczął swą podróż ze słowem Bożym na ustach: „Wychodzący pod baldachimem — pojawia się w całej swej sile" i smagnął konie biczem.

Ale nie sprzedawało się już tak dobrze, jak ongiś. Chłopi nie przywiązywali wagi do jego zapewnień o „czystym smarze rosyjskim" i odmawiali mu. Z początku — jak się rzekło — był pijany ze szczęścia, lecz potem zaczęły go dręczyć niepowodzenia u chłopów i smucić dni bez zarobku.

„Szlak was trafi! — rzekł głośno do Zalmana. — Zepsuliście chłopów. Dawniej kupowali chętniej towar rosyjski niż niemiecki." I choć zarabiał najwyżej dwadzieścia marek tygodniowo, nie licząc wydatków, to jednak ośmielił się zaproponować Zalmanowi spółkę: „Ty zajmuj się nadal swoimi sprawami, ale interesy, jakie będę zawierał w mej podróży, pójdą na nasz wspólny rachunek, po połowie." Gdy Zalman się na to zgodził, zajaśniała staremu twarz: bo teraz nie był już posługaczem, lecz kupcem, jak dawniej... W tym tygodniu nie zarobił więcej jak 10 marek, a gdy Zalman nie chciał przyjąć swego udziału z tej małej kwoty, Srul Mojsze rozgniewał się: „Wszak jesteśmy spólnikami, ni ty mój, ani ja twój sługa, — jesteśmy sobie równi."

Zalmana trapił los starca. Zima była bardzo ostra, a starzec wlókł się ostatkiem sił i nie można go było oderwać od smoły. Do-

brze uczynił Chaskiel — myślał wtedy Zalman, — bo zachował się hardo od pierwszej chwili i nie ma teraz kłopotów... Przypomniał sobie również, jak Srul Mojsze traktował go kiedyś, jak go bił, głodził, zostawiał w czasie wielkich mrozów w stajni, ale mimo to nie mógł się zdobyć na to, aby odpędzić od siebie starca. Cóż pocznie nieszczęsny Srul Mojsze, skoro znajdzie się sam?

A Srul Mojsze jechał dalej. Nie do każdej gospody wpuszczano go z powodu jego dziwacznego ubioru, na którym połyskiwały wszelkiego rodzaju smary i tłuszcze. Bywały tedy noce, które spędzał na swym wozie, ale uparł się i nie opowiadał o tym Zalmanowi. Gdy zaś wracał do domu Zalmana i widział go, ubranego w porządne palto, z laską w ręku i papierosem w ustach, wzdychał ciężko: oto on, stary, poniewiera się o chłodzie i głodzie, a jego posługacz, który ongiś chodził po wsiach, żebrząc o kawałek chleba i o jajo, spaceruje teraz niczym hrabia po ulicach. „Bożnica — to chyba bzdura, a magid — kłamca", mawiał nieraz do siebie, gdy zdawał sobie sprawę z tego, jak dobrze się powodzi jego posługaczom, którzy nie przestrzegają przepisów szabasowych ani świątecznych, których noga nie stanęła w bożnicy, a ucho nie słyszało ani razu magida.

Od pobytu w Białymstoku kładł dzień w dzień „tefilin", a mimo to... — a na co to?...

Nie był, co prawda, taki skrupulatny ani przeczulony na punkcie koszerności, ale — Bóg świadkiem, że w ciągu całego swego życia nie spożył ani jednej trefnej potrawy. I cóż z tego? Obecnie, w swych wędrówkach po wsiach zmuszony był jadać trefne mięso; zaczął od kurczęcia, następnie przyszła wołowina, ale do świń nie doszedł. A gdy odezwało się sumienie wyrzutami, że niby dopuszcza się na starość czynów, jakich w młodych latach nie popełniał, wówczas usprawiedliwiał się przed sobą samym, że czyni to z nieprzezwyciężonej konieczności, i z powrotem znajdował spokój. Co więcej, Srul Mojsze żałował teraz, że dotychczas żywił się jeno masłem, serem i „trawami", a mięsa nie brał prawie do ust... Ale Zalmanowi nie opowiedział niczego, gdyż obawiał się, aby wieść o tym nie doszła Grajewa. Poczciwy Zalman zaś martwił się losem starca, którego twarz zmizerniała i zapadła z powodu braku pożywnego jedzenia, choć mógłby spędzić ostatnie dni swego życia u swych córek.

Pewnego dnia uległ Zalman prośbom staruszka i pojechał wraz z nim. W czasie podróży zdawało się Srulowi Mojsze, że jest w sile wieku i że Zalman jest jego posługaczem... Pod wieczór musieli się zatrzymać w Kotbus. Stary wstąpił do zajazdu i zapytał o gospodarza. Pokazano mu młodego człowieka, który jednak nie odpowiedział na pozdrowienie tak nędznie ubranego człowieka. Srul Mojsze zażądał od niego pokoju na dwie osoby, dla siebie i swego posługacza. Spotkał się jednak z odpowiedzią, że wszystko już zajęte. Do odpowiedzi takich był już przyzwyczajony, tym bardziej, że teraz wyszła ona z ust młodego syna właściciela zajazdu. Poszli tedy do następnej gospody, której właściciel udawał, że nie poznaje Srula Mojsze i nie udzielił mu gościny. Udali się do trzeciego hoteliku, do którego wszedł sam Srul Moj-

sze, a Zalman stał na dworze i zgrzytał zębami ze złości, że z powodu tego starca nie będzie mógł otrzymać noclegu. Poszli do następnej gospody, a gdy stary znikł za jej drzwiami, skoczył Zalman na wóz smagnął konie i przystanął dopiero na drugim końcu miasteczka, gdzie wynajął sobie pokój, a konie umieścił w stajni. Gdy Srul Mojsze wyszedł i nie widział Zalmana, domyślił się wszystkiego. Posypały się wtedy na głowę Zalmana, „przeklętego posługacza", jego zmarłych rodziców i dumnych właścicieli zajazdów przekleństwa: „Za dawnych czasów zrzucała gospodyni swe wszystkie trefne naczynia z komina, aby zwolnić miejsce dla smolarza, a dziś stali się dumni, jakby naprawdę wygrali wojnę. Abyście się udusili!" Zaglądał do każdego podwórka, czy aby nie znajdzie swego wozu. „Gdybym go znalazł, palnąłbym go dwa razy w mordę!" powiedział do siebie.

Gdy tak chodził i przeklinał, zatrzymał go policjant. Wydawał mu się podejrzany. Skoro Srul Mojsze mu oświadczył, że nie ma noclegu, kazał mu pójść za sobą. Potem zaprowadził go do przytułku, oddał w ręce odźwiernego i poszedł sobie. Srul Mojsze zapytał, gdzie właściwie się znajduje; pokazano mu ludzi śpiących dokoła, potem kazano mu rozpiąć koszulę. Odźwierny obejrzał ją i zaprowadził go do wanny z gorącą wodą. Nie pomogły prośby i wyjaśnienia. Musiał ściągnąć ubranie i wykąpać się od stóp do głowy. Następnie wrócił do wielkiej sali, gdzie odźwierny wskazał mu jego łóżko. Owinął się grubym kocem, gdyż drżał z zimna. Wtem uczuł czyjeś dotknięcie przy uchu. Gdy sobie zdał sprawę z tego, że obok niego skacze szczur, krzyknął



z przestrachu. Obudziło to jego sąsiada, który go przyjął przekleństwami. Kiedy szczur po raz drugi skoczył nań, wstrzymał się już od krzyku. Wczesnym rankiem chciał uciec, ale zauważył brak swoich rzeczy. „Zapewne skradli" — pomyślał sobie. Zimny pot oblał go. Cóż teraz pocznie? Wkrótce jednak przyniósł mu odźwierny jego rzeczy, zapakowane w małym worku. Przypomniał sobie czasy wojenne, kiedy to Niemcy wlekli wszystkich mieszkańców do łaźni, gdzie dezynfekowali ich ubrania, które pod działaniem płynów dezynfekujących marszczyły się ohydnie. Gdy wydobył swoje ubranie z woreczka, pociemniało mu w oczach. Przeklinał i lżył, ale... cicho. Jedno pragnienie przepełniało jego serce: wyjść stąd, jak najprędzej wyjść! A gdy wreszcie znalazł się na ulicy, było mu zaprawdę dobrze, choć widział, jak przechodnie oglądają jego dziwny ubiór, a szczególnie surdut, podobny do fraka, zmiętego w tysiączne zmarszczki,—ślady dezynfekcji. Otóż i Zalman. Jechał sobie na wozie. Srul Mojsze skoczył nań z podniesioną pięścią i z ładunkiem przekleństw. Zalman próbował się bronić: „Nie będziecie chyba domagali się, abym dla was spędził noc w przytułku". Jednocześnie oglądał jego zdezynfekowany ubiór. „Bóg świadkiem, że wpadłem w ich ręce — odpowiadał Srul Mojsze — a znaleźli u mnie tylko trzy... aby Brajna zdrowa była, że tylko trzy... Łajdaki! zwracają uwagę na najmniejszą weszkę, ale nie obchodzą ich szczury wielkie, jak dzikie koty".

Wkrótce przypomniał sobie, jaką przykrość wyrządził mu Zalman i rzucił się na niego: „Łotrze haniebny! W taki sposób postępuje się

ze swoim pracodawcą?" Ale i Zalman wpadł w gniew: „Wszak wiecie dobrze, kto z nas jest gospodarzem, a kto posługaczem"! Na to skoczył Srul Mojsze do wozu, chwycił za cugle i wołał: „Teraz ja jestem na wozie. To mój i tylko mój pomysł. Może być, że jestem ci winien pieniądze, ale ja jeden jestem właścicielem tego wozu! Ciasno wam na tym świecie, przeklęte parobki? Chcecie mieć równy udział w dochodzie z pracodawcą? Ja, Srul Mojsze, dokażę tego, że was zdeptam wszystkich i pognębię! Parobki — zdrajcy!" Zalman nie słyszał już ostatnich słów, uciekł bowiem, nie chcąc wywołać zbiegowiska; zdążył jeno zawołać: „Dostawcie mi wóz do Zerbst! I rachunek!" Po czym poszedł na dworzec kolejowy, gdzie nabył bilet do Zerbst. Choć stary zwymyślał go i przeklinał, to jednak Zalman nie miał mu tego za złe, ale postanowił wykorzystać tę kłótnię i pozbyć się go.

Srul Mojsze zaś nie wracał do Zerbst. Minął dzień, dwa... Zalman martwił się o starego, ale opanowywał się i nie jechał na wieś, aby go poszukać. Niemniej jednak prosił codziennie karczmarza, aby mu odczytywał z gazety, czy aby nie zdarzyło się jakieś nieszczęście ze starym Żydem, — i tak czekał z dnia na dzień.

Srul Mojsze zaś wędrował z jednego miasteczka do drugiego. Siadał rano na wóz, pełen nadziei, że sprzeda cały towar, poczym kupi w fabryce nowy i pozbędzie się go również, i tak dalej, póki nie zarobi większej kwoty pieniężnej, którą rzuci Zalmanowi tytułem ceny kupna za wóz. Wieczorem jednak wracał z marnym zarobkiem w kieszeni.

Był wówczas wielki mróz, jeszcze większy był ból, największy — żal... Stary smolarz doszedł do tego, że Zalman przecież ma rację.

A tak! Zalman ma rację... Oto chodzi sobie wystrojony, grosz nie odgrywa u niego roli, choć nie zarobił na spółce ani złamanego szeląga. Czemuż tedy ma się włóczyć po obcych, niegościnnych zajazdach? Tak tedy stało się, że Srul Mojsze bardzo a bardzo żałował, ale człowiek tego pokroju nie przyznaje się do błędu. Jechał tedy nadal po wsiach, zachęcał chłopów do kupowania smaru tak gorliwie, że ochrypł. Minęły mu w ten sposób dwa tygodnie. Niebo zachmurzyło się, pierwszy śnieg spadł już. Śpiesznie zawrócił wówczas do Zerbst w obawie przed wielkimi śniegami, które mogłyby go jeszcze zatrzymać w jakiejś wsi, w której musiałby na dobitek opłacać również stajnię dla koni...

A gdy Zalman zobaczył wreszcie Srula Mojsze, — kamień spadł mu z serca, ale nie wykazał tego na zewnątrz. Powiedział tylko: „Zwróćcie wóz i konia, oraz resztki towaru, bierzcie swoje wynagrodzenie i idźcie z Bogiem!“ Srul Mojsze, jak zawsze, oburzał się: „Wszystko, co ty, Chaskiel i inni smarkacze posiadają, należy do mnie. Bo ja wam tę drogę utorowałem!“ Ale Zalman nie chciał z nim wszcząć kłótni i poszedł sobie. Nazajutrz sprzedał Zalman konia i wóz chłopom ze znaczną stratą, chodziło mu bowiem o szybkie pozbycie się ich, aby Srul Mojsze nie zdążył wsiąść z powrotem na wóz... Stary pobiegł wówczas do konkurentów Zalmana i ofiarował im swoje usługi. Daremnie! Ludzie ci, młodsi od Zalmana i mniej uczciwi od niego dobrze znali „czarne punkty“.

Srul Mojsze nasłuchał się wówczas wielu uwag na temat swojego wieku, że jest jest już w bardzo podeszłych latach, a nieraz nawet pozwalano sobie zadrwić z niego w następujący sposób: „Ileż to macie tam lat, Srul Mojsze?“ Na pytanie takie zwykł odpowiadać: „Ile mam lat, pytacie? Każda moneta, która opuszcza twoją sakiewkę, nigdy już nie wróci do ciebie. Podobnie ma się rzecz z latami. Rok, który minął nie należy już do mnie, ani do ciebie. A ile jeszcze lat mamy przed sobą? Tego nikt nie wie. Pod tym względem jesteśmy sobie wszyscy równi. Któż to raczy wiedzieć? Być może, że mnie i was czeka jeszcze równa ilość lat.“

Ciężkie to były dni, eh! Ciężkie! Srul Mojsze był pełen goryczy. Raz był do przesady pobożny i nawet szklankę zmywał dłuższy czas w kipiącej wodzie, a „tefilin“ nosił długo na czole i ręce, ale innym razem spoglądał na te same „tefilin“ z nienawiścią i żarł trefne mięso w pierwszej lepszej karczmie w Zerbst, nie licząc się zgoła z tym, co o tym będzie sądziła opinia znajomych. Aliści te chwile pobożności i odstępstwa nie przychodziły samopas, — wywoływały je myśli, nadzieje, zawody...

Przed świętem Purim doniosła mu jedna z córek, że Brajna zachorowała. Niechże tedy prędko, jeszcze przed Pesach, wraca do domu!

Gdy przeczytano mu list, rozpłakał się, jak dziecko. Chwycił czytającego za rękę. Nie puści go, póki mu nie powie prawdy! Czy Brajna jeszcze żyje? Przypomniał sobie Abrahama Chaima, który go okłamał. Poszedł tedy do drugie-

go i prosił o odczytanie mu listu. A gdy z ust znajomego popłynęły te same słowa, nie znalazł jeszcze spokoju. „Cztery dni temu napisano ten list — któż wie, czy w tym krótkim czasie nie zmarła?“ Nastały tedy ponure dni. A noce, — noce były bezsenne...

Tyle lat spędził z Brajną! Biedna, stokroć biedna Brajna. Czymże było całe jej życie? Rodziła i wychowywała dzieci, przesycona bólem i trudem osiągnęła starość, a potem wojna — jakież to wszystko marne? Zaprawdę, że ludzie to bezrozumne bydlęta. Oto cieszą się, gdy się im dziecko narodzi. Jakże radowali się rodzice Brajny, gdy im się narodziła córka - jedynaczka! A przecież tchnęli w nią życie po to chyba, aby cierpiała. Cóżby powiedzieli, gdyby ją teraz widzieli?

Myśli o Brajnie nie ustępowały go ani na chwilę. Dręczyły go tak, że bladł coraz bardziej, chudł i pochylał się ku ziemi, a gdy zapadł Purim, postanowił wrócić do domu. Poco właściwie ma czekać na ostatni tydzień przed Pesach? Czyż czekają go wielkie zarobki? Albo może ma ściągnąć swoje wierzytelności?

Gnębi go tu zawiść, gdy spogląda na Chaskla, Zalmana i innych... Nikomu nie zdradził celu swej podróży. Chciał, aby pomyślano o jego wyjeździe z lękiem, aby jego konkurenci z niepokojem oczekiwali wiadomości o tym, że Srul Mojsze odebrał swoje „prowincje“, jak to było za dawnych czasów. Pojechał do Berlina, a stamtąd do Prostken. Ze strachem przyjmował każdy nowy dzień. A nuż dziś kona Brajna?... Serce osłabło i odmawiało mu posłuszeństwa. Nie mógł powstać ze swego miejsca. Znaleźli się dobrzy ludzie, którzy mu pomogli, a nawet pokrzepili go kroplami i położyli na ławce wagonu, zdążającego do Prostken. Na stacji Prostken musiano przywołać lekarza, który mu zakazał dalszego podróżowania do Grajewa. Ułożono go tedy w karczmie. Tego samego dnia doszła wieść o tym do Grajewa. Dwie jego córki otrzymały przepustkę, uprawniającą do przebycia granicy. Srul Mojsze poznał je, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Na migi zapytał, czy Brajna żyje. A gdy otrzymał potakującą odpowiedź, spokojny uśmiech zaigrał na jego ustach.

W dwa dni potem umarł. Zasnął, jak dziecko, i nie obudził się.

Pochowano go na cmentarzu w Grajewie i postawiono mu pomnik obok grobu jego małżonki, Brajny.

KONIEC.

571
4000
591/VII